

PRZYBLIŻAJĄC LEGENDY

STAR WARS

GALAKTYKA STRACHU



POŻARCI ŻYWCEM
John Whitman

Gwiezdne Wojny

Galaktyka Strachu część 1: Pożarci żywcem

Tytuł oryginalny: Galaxy of fear: Eaten alive

Autor: John Whitman

Wydawnictwo: Bantam Spectra

Tłumaczenie: Krayt

Korekta: Sharon

Polska wersja okładki: Teesel

Koordinacja projektu: Sharon

Tłumaczenie stanowi część projektu „Przybliżając legendy”.

PROLOG

Drzwi otworzyły się z sykiem. Ciemna postać wkroczyła do laboratorium, gdzie samotny naukowiec stał nad stołem do badań. Na stole leżało coś, co wciąż żyło.

Naukowiec nie odwracał się, mimo że ciemna postać była coraz bliżej. Tylko dwie inne istoty w całej galaktyce miały wstęp do jego ukrytej fortecy i wiedział, kto przyszedł go zobaczyć.

- Witaj, Lordzie Vaderze - powiedział.

Postać odziana w czarną zbroję się przybliżyła. Twarz miała skrytą za czarną, przypominającą czaszkę maską. Był to Darth Vader, Lord Sithów, okrutna prawa ręka Imperatora galaktyki.

- Czy skończyłeś swoje badania?

Naukowiec się odwrócił. W rękę trzymał ostre, zakrzywione narzędzie.

Istota na stole za nim wzdygnęła się, po czym zamarła w bezruchu.

- Prawie. Pierwsze pięć faz eksperymentu jest właśnie wdrażane. Niedługo będę mógł podjąć się szóstej i ostatniej fazy. Wtedy dam Imperatorowi największą moc w galaktyce.

- Te słowa padały już wcześniej - powiedział Vader. - Gwiazda Śmierci miała być najbardziej śmiertcionym wynalazkiem w historii. Zniszczyła planetę Alderaan, lecz potem Rebelianci zniszczyli Gwiazdę Śmierci.

naukowiec prychnął. - Ta stacja kosmiczna to była zabawka. Moje projekty to nie maszyny... Ja kontroluję życie samo w sobie. Stworzę Imperatorowi ostateczną broń.

- Ostateczną bronią - odparł Vader - Jest Moc.

- Oczywiście, oczywiście.

Vader na chwilę wbił wzrok w naukowca. Maską sprawiała, że jego oddech brzmiał jak groźny syk.

- Kończy ci się czas. Być może twoja praca już została odkryta.

Naukowiec prychnął.

- Masz na myśli jego? Nim się nie martw. Zajmę się nim w odpowiednim czasie.

Vader uniósł ostrzegawczo dłoń.

- Jeśli ten sekret wycieknie, tak jak plany Gwiazdy Śmierci, Imperator oraz ja będziemy bardzo niezadowoleni.

Następnie Mroczny Lord się odwrócił.

Naukowiec patrzył za opancerzoną postacią, wypalając oczyma dziurę w plecach Vadera. Niedługo, myślał, bardzo niedługo, miałby moc, by zniszczyć nawet Dartha Vadera. Wtedy zajęłyby swoje miejsce u boku Imperatora.

Powrócił do swoich eksperymentów. Opuścił zakrzywione ostrze. Istota na stole wrzasnęła....

ROZDZIAŁ 1

Atak nastąpił bez ostrzeżenia.

W małym kwadrancie kosmosu, myśliwiec typu X-wing nieco zmienił tor lotu, by ominąć ogromny czerwony księżyc przed sobą. Gdy to zrobił, statek o podwójnym jonowym silniku, zwany potocznie myśliwcem TIE, pojawił się w cieniu księżyca, odbijając w dwóch panelach słonecznych pomarańczowe światło. Śmigając przez przestrzeń, TIE otworzył ogień, plując wiązkami ognia z podwójnych turbolaserów.

Jeden ze strzałów musnął kadłub X-winga. Tarcze myśliwca odbiły większość uderzenia, a roztrzęsiony pojazd odchylił się na bok i przyspieszył do prędkości ataku.

Myśliwiec TIE zrobił to samo. Nie tylko był on szybki i zwinny, lecz pilot miał dodatkową przewagę. Znała swojego przeciwnika. Patrzyła na niego chłodno, gdy skręcał i się obracał, usiłując zgubić imperialny myśliwiec. Lecz trzymała się jego ogona, tylko od czasu do czasu zerkając na ekran monitora. Czekala, aż będzie go miała na celowniku.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Jesteś mój.

Uciekający X-wing szybko sprostował kurs i skierował się prosto na czerwony księżyc. Pilot wiedział, kogo miał na ogonie. Był to ten sam wróg, z którym miał już do czynienia sto razy. Była dobra. Jeśli miał przeżyć, musiałby być lepszy.

- Spróbuj tego - wyzwał ją.

Pilot X-winga skierował dziób statku w stronę księżyca. Grawitacja księżyca natychmiast go chwyciła i przyspieszył. W ostatniej chwili pilot skręcił w górę. Trzymając się w polu oddziaływania grawitacyjnego, dodał gazu silnikom i przeleciał tuż nad atmosferą księżyca. Spód jego statku zostawił ślad ognia na niebie, gdy malutki statek obleciał księżyc.

Efekt przypominał procę. Przyciągany przez grawitację X-wing obleciał księżyc dookoła, daleko przed ścigającym go myśliwcem TIE. Powrócił z drugiej strony i sam otworzył ogień.

Lecz myśliwiec TIE był na niego gotowy.

- Najstarsza sztuczka, jaka istnieje! - powiedziała. Zmieniła kurs, by wylecieć naprzeciwko swojego wroga, zanim skończy swój manewr, obsypując X-winga ogniem laserowym. Pojazd w akcie desperacji gwałtownie przechylił się na lewo. Wiązki laserowe eksplodowały wokół jego statku, lecz ani jedna z nich go nie trafiła. Śmiejąc się, pilot X-winga wyminął myśliwiec TIE, następnie zawrócił, by kontynuować walkę.

- Masz takie szczęście! - krzyknęła pilot TIE.

Nagle na niebie pojawiła się metalowa dłoń wielkości czerwonego księżyca, by zablokować tor lotu X-winga. Lecz myśliwiec przeleciał prosto przez nią.

Właściciel dłoni spojrział na dół na holostół, gdzie walka myśliwców miała miejsce. Był to D-V9, albo Deevee w skrócie – srebrny droid zaprogramowany, by imitować wygląd oraz

zachowanie ludzi. Jako, że ręce oraz twarz miał zrobione z durastali, nie mógł on marszczyć brwi, lecz zachował się tak, jakby właśnie to zrobił.

- Tash. Zak. Przestańcie się bawić w tą idiotyczną grę.

Dwójka pilotów puściła swoje dyski kontrolne, a holograficzne myśliwce, malutkie w porównaniu z droidem stojącym nad nimi, natychmiast zastygły w miejscu. Wisiały w powietrzu nad holostolem, razem z wygenerowanym komputerowo księżycem oraz planetą, które robiły za planszę do gry.

Holostół znajdował się w kącie małego pokoju w przednim przedziale statku kosmicznego zwanego Lightrunnerem, który w tamtej chwili pędził przez hiperprzestrzeń.

Pilot X-winga wstał od stołu. Nazywał się Zak Arranda. Odczesał do tyłu kosmyk brązowych włosów i uśmiechnął się do swojego przeciwnika.

Pilotem myśliwca TIE była jego siostra, Tash. Miała trzynaście lat, o rok więcej od swojego brata, i cał więcej wzrostu. Jej gęste blond włosy były zaplecione w warkocz, a na jej delikatnie piegowanej twarzy widniał poważny grymas.

- Masz taaakie szczęście - powtórzyła.

- To było super! - zaśmiał się Zak. - A poza tym, to nie szczęście, tylko wprawa.

Tash nie była przekonana.

- Nikt nie mógł się obronić przed tym ostrzałem. Poza tym, wszyscy wiedzą, że hologry są tak zrobione, żeby imperialne statki miały przewagę. Imperium nigdy by nie pozwoliło, by wygrał ktokolwiek inny. A jednak ty zawsze wygrywasz. - Pokręciła głową. - Nie łapię.

- Czego też ewidentnie nie łapiesz - powiedział niecierpliwy droid przy niej - to, że te idiotyczne hologry są absolutną stratą czasu. Poza tym, jest czas na twoją lekcję zoologii. - Droid położył ręce na biodra i czekał.

- Lekcje? - jęknął Zak. - Jesteśmy w środku hiperprzestrzeni!

Deevee wykonał elektroniczny odpowiednik prychnięcia.

- Nie ma przerw od nauki.

Ani od mechanicznych niań - pomyślał Zak; głośno też powiedział:

- Ale hologry są edukacyjne. Poprawiają koordynację wzrokowo-ruchową i uczą szybkiego myślenia i-

- I jesteśmy gotowi na lekcje, Deevee - przerwała mu Tash

Nie, żeby była jakoś szczególnie zainteresowana zoologią. Zdecydowanie wolałaby czytać jeden ze swoich plików danych o tradycjach Jedi albo ściągać informacje z HoloNetu. Lecz czasem dobrze było dawać przykład młodszemu bratu.

Poza tym, nie cierpiała – naprawdę nie cierpiała – bycia imperialnym myśliwcem TIE, od kiedy Imperium wysadziło w kosmos jej oraz Zaka ojczystą planetę, Alderaan. Zak i Tash wyjechali na dwa tygodnie i wrócili do domu, by zorientować się, że, cóż, nie mieli domu. Ich rodzice, przyjaciele oraz sąsiedzi zostali zabici w eksplozji.

Deevee wstukał parę poleceń do panelu kontrolnego holostołu.

- Lekcje zoologii - droid powiedział do nikogo w szczególności. Jeśliby miał taką możliwość, zakręciłby oczami. - Mam pojemność mózgową superkomputera, a udzielam lekcji zoologii.

Zak i Tash nawet nie zauważyli. Deevee narzekał na swoją nową pracę, odkąd zamieszkał u wujka Hoole'a.

D-V9 był pierwszej klasy jednostką naukowo-badawczą z mózgiem komputerowym OmniTask wystarczająco szybkim, by wykalkulować i zapisać dziesięć milionów informacji o obcych kulturach w sekundę. Został zaprojektowany, by pomagać swojemu panu, antropologowi Hoole'owi, z ważnymi badaniami na temat kultur w galaktyce. Był obiektem zazdrości każdego droida, którego znał – dopóki sześć miesięcy temu, nie została mu przydzielona praca opiekuna dwójki młodych sierot.

Deevee nie przepadał za swoją nową pracą i przypominał o tym Zakowi oraz Tash przy każdej możliwej okazji.

Na rozkaz droida, program bitew gwiazdnych się roztopił i został zastąpiony strumieniem hologramów ukazujących wszelkie zwierzęta zamieszkujące galaktykę. Program zatrzymał się na jednym dziwnym zdjęciu: ogromnej bestii z kłami, siedzącej nieruchomo, podczas gdy trzy albo cztery małe ptaki wlatywały i wylatywały z jego paszczy. Nagranie mówiło:

- To jedna z dziwniejszych relacji w galaktycznej naturze. Zimnokrwisty rancor zabije wszystko, co zobaczy... z wyjątkiem ptaka gibbit, który swobodnie lata wewnątrz jego paszczy. Rancor pozwala na to, ponieważ ptaki gibbit wydziobują mięso spomiędzy zębów rancora, pomagając mu utrzymać higienę jamy ustnej...

Niestety, w miarę trwania lekcji zoologii, Tash zaczynała zasypiać. Była dobrą uczennicą, lecz przedmioty ściśle nie były jej ulubionymi przedmiotami. Tash wyjęła z kieszeni datapad i trzymała go na udach, gdzie ani Zak, ani Deevee nie byli w stanie go zobaczyć. Wstukała polecenie i na ekranie pojawił się tekst.

Była to historia o Rycerzach Jedi.

Była również nielegalna. Legendy o Rycerzach Jedi były zakazane przez Imperium, nawet gdy Tash nie było jeszcze na świecie. Lecz pewnego razu Tash natknęła się na pewną historię w galaktycznej sieci komunikacyjnej zwanej HoloNetem. Siedząc przy biurku w swoim pokoju na Alderaanie, Tash mogła się zalogować na HoloNet i skanować biblioteki na odległych planetach lub rozmawiać z osobami odległymi o lata świetlne. Pewnego razu odkryła zakodowaną wiadomość pod hasłem, którego nigdy wcześniej nie widziała: Jedi. Złamanie kodu zajęło jej kilka godzin, lecz w końcu plik się otworzył przed jej oczami.

Historia, którą Tash odkryła, została napisana przez kogoś o pseudonimie ForceFlow i opowiadała o Rycerzach Jedi, grupie osób, które używały czegoś zwanego Mocą, by chronić galaktykę przed złem.

Według historii, Rycerze Jedi przez tysiąclecia byli strażnikami Starej Republiki. Jediną bronią, jaką nosili Jedi, był miecz świetlny, biała broń o ostrzu z czystej energii. Lecz Jedi używali przemocy tylko w ostateczności. Zamiast tego polegali na tajemniczej Mocy.

Tash wysłała ForceFlowowi wiadomość, z nadzieją, że się więcej nauczy. Lecz ForceFlow nie odpowiedział, a jego oryginalna historia została usunięta z sieci.

Po tym zdarzeniu, Tash miała oczy szeroko otwarte na jakiekolwiek informacje na temat Jedi. Odwiedzała biblioteki, skanowała sieć oraz rozmawiała z wszystkimi, którzy znali jakąś historię o Jedi lub wiedzieli coś o Mocy. Miała nadzieję spotkać kiedyś jakiegoś Jedi. Miała nadzieję sama się kiedyś nim stać. Lecz niedługo po tym, jak pierwsza historia została wymazana z sieci, wszystkie informacje o Jedi zniknęły z publicznych danych. Została zastąpiona pojedynczym artykułem, przypieczętowanym imperialną pieczęcią, głoszącym, że Jedi wyginęli, gdy Stara Republika zamieniła się w Imperium. Według oficjalnych raportów, Jedi byli...

- Wymarli - powiedział Deevee. - Wyobraź sobie.

Tash podniosła wzrok znad datapadu. D-V9 stał obok obrazu klucza ptaków o niebieskich skrzydłach. Obraz zanikał, a Deevee ewidentnie kończył swój wykład. Opuściła całą lekcję.

- Cóż, wystarczy na dzisiaj - powiedział droid. - Za tydzień będzie test z tej lekcji.

Pożegnani przez swojego nauczyciela, Zak i Tash uciekli z pokoju. Tash popatrzyła na swojego brata i zobaczyła, że nie ona jedna nie była skoncentrowana.

- O czym myślisz? - spytała.

- O domu. Alderaanie. Jeźdzeniu na desce w parku. - Zak się zawahał. - O mamie i tacie. Tęsknię za nimi.

- Ja też - odparła Tash. Samo myślenie o jej rodzicach sprawiało, że chciało jej się płakać. Lecz była starszą siostrą i nie mogła płakać przy Zaku. - Teraz wujek Hoole jest naszą rodziną.

Zak wzruszył ramionami.

- Nie do końca. Nie jest-

- Nie jest nawet człowiekiem - dokończyła Tash.

- Tak, a poza tym jest-

- Tylko z nami spokrewniony, ponieważ jego brat wyszedł za ciocię Beryłę.

- Owszem - powiedział Zak. - Nawet nie wiem-

- Dlaczego nas przygarnął?

- Przestań! - Zak wbił wzrok w siostrę. Miała denerwujący zwyczaj kończenia zdań innych ludzi.

- Przepraszam - odpowiedziała. Nie zauważyła, że znów to robiła. - Lecz rozmawialiśmy już o wujku Hoole'u. Nie jest człowiekiem – jest Shi'ido. Oni uważają, że wszyscy ich krewni są częścią ich bliskiej rodziny. Dlatego Hoole uważał, że musi nas przygarnąć, gdy... - z trudem to mogła z siebie wydusić. - Gdy mama i tata umarli. Powinniśmy być wdzięczni, że możemy mieszkać z kimś, kto się o nas troszczy.

- Nigdy tego nie pokazuje. Zawsze wygląda, jakby się wybierał na pogrzeb.

- Jesteś dla niego zbyt surowy. - Tash nie wierzyła do końca we wszystko, co mówi. - Bywa bardzo przyjazny.

- Naprawdę? - spytał Zak. - To jak ma na imię?

- Cóż, to łatwą, na imię ma... To znaczy, wiem, że słyszałam... To jest... - Zatrzymała się. Teraz, gdy o tym pomyślała, wujek Hoole nigdy nie powiedział im, jak ma na pierwsze imię.
- Może nie ma imienia - zdecydowała. - Może to po prostu Hoole.

- Może - powiedział Zak z nagłym błyskiem w oczach - po prostu nie chce, byśmy wiedzieli. Może to jakaś tajemnica. Może jest nagroda za jego głowę!

- Zaku Arranda, twoja wyobraźnia jest ogromna.

- Może jest częścią Rebelii i dlatego tyle się przemieszcza.

Tash robiła się niecierpliwa.

- Daruj sobie, Zak. Jest antropologiem. Podróżuje na inne planety, by badać gatunki, które tam mieszkają.

- Jasne, tak nam mówi. Lecz jeśli to tylko tyle, to dlaczego się ukrywa ze swoim imieniem? Mam zamiar się przekonać.

- Niby w jaki sposób?

- Prosty. Sprawdzę jego kabinę. - Zak się obrócił.

- Nie możesz tego robić! To niegrzeczne. Poza tym, co, jeśli cię znajdzie?

- Nie znajdzie - powiedział Zak. - Jest w bibliotece, robi badania. Tak, jak zawsze. - Zak znów się odwrócił. - Chcesz pomóc?

- Nie - powiedziała stanowczo Tash. - To nie jest coś, co zrobiłby Rycerz Jedi.

- Nie jesteś Rycerzem Jedi.

- I tak nie idę.

- Błagam, nie będę mu przeglądał osobistych folderów ani nic. Po prostu rozejrzę się po jego biurku, by zobaczyć, czy widnieje gdzieś jego imię.

Jego siostra pokręciła głową.

- Wracam do kokpitu, by poćwiczyć pilotaż.

- Jak chcesz. - powiedział Zak i odszedł korytarzem.

Tash zmarszczyła brwi. Przynajmniej sprawiła, że zaczął myśleć o czymś innym, niż o ich rodzicach. Teraz, gdyby tylko ktoś mógł sprawić, żeby ona również przestała o nich ciągle myśleć...

Gdy Tash szła do kokpitu, Zak skradał się w stronę kwater mieszkalnych statku. Ostatnia kabina należała do wujka Hoole'a. Zak nacisnął dzwonek.

Brak odpowiedzi.

Zak nacisnął klamkę i drzwi się odsunęły z delikatnym szumem.

Zak patrzył w mordę śliniącego się potwora z wielkimi kłami. Stał w drzwiach i był tak blisko Zaka, że chłopiec czuł jego ciepły, śmierdzący oddech.

Krzyknął i zachwiał się do tyłu, potykając się o własne stopy i upadając na ziemię. Stworzenie skoczyło do przodu i się nad nim pochyliło. Jedną z łap sięgnęło mu do gardła.

ROZDZIAŁ 2

Istota złapała Zaka za koszulę i podciągnęła go na nogi.

- Co tutaj robisz?! - zażądał odpowiedzi szorstkim głosem.

- Ja-ja... - Zak się zająknął. Czuł na sobie oddech stworzenia.

Istota się zawahała. Puściła koszulę Zaka i zrobiła krok do tyłu. Następnie, przed oczyma Zaka, jej skóra zaczęła się trząść i wić. Całe ciało potwora się marszczyło i zmieniało kształt. Po zaledwie kilku sekundach zmieniło się w coś przypominającego człowieka. Lecz jego ciemnoszara skóra i wybitnie długie palce zdradzały, że wcale nie jest do końca człowiekiem.

- Wujek Hoole - powiedział Zak - To ty.

- Jesteś w mojej kabinie - odpowiedział stanowczo Hoole. - Kogo innego chciałeś tu znaleźć?

Kolana Zaka wciąż się trzęsły, lecz czuł się spokojniej. Powinien był wiedzieć, że to by się stało prędzej czy później. Wujek Hoole był Shi'do. Choć wyglądali w większej części na ludzi, Shi'do byli obcymi z bardzo nieludzką zdolnością: potrafili zmieniać kształt.

- Przepraszam - powiedział, wzdrygając się po raz ostatni. - Ja po prostu nie... To znaczy, nigdy nie widziałem, żebyś wcześniej to robił. Co to było, w co się zamieniłeś?

Hoole obrócił się plecami do Zaka i zaczął badać mały datapad.

- Istotę, którą zaobserwowałem podczas swoich podróży. Nie chcę wyjść z wprawy zmieniania kształtu - odpowiedział.

- Wyjść z wprawy?

Wzrok Hoole'a przypominał pocisk blastera.

- Wyjść z wprawy jedzenia denerwujących małych chłopców.

Tash uważała, że, jako starsza siostra, powinna ułatwiać sprawy Zakowi, lecz okropnie tęskniła za swoimi rodzicami. Pamiętała dzień, w którym usłyszeli, że zmarli: Czuli się tak zagubiona i samotna, że myślała, że zwariuje.

Prawdą było, że choć tęskniła za Alderaanem, jedynymi osobami, których jej tak naprawdę brakowało, byli jej rodzice. Tash zawsze miała kłopoty z nawiązywaniem przyjaźni – inne dzieci myślały, że była dziwna, ponieważ zawsze dokańczała ich zdania i zgadywała, w jaki dzień pewnie będzie test i miewała złe przeczucia o różnych rzeczach. Zwykle były to smutne lub straszne rzeczy. Na przykład dzień, kiedy zmarli jej rodzice. Wiedziała, że to się stało, pomimo tego, że była od nich lata świetlne drogi.

Czuła, jakby nagle coś zostało z niej wyrwane. Był to najgorszy raz, lecz nie pierwszy.

Gdy usłyszała wiadomość, Tash chciała się zamknąć w pokoju na zawsze. Lecz Zak jej na to nie pozwolił. Był równie smutny i przestraszony co ona, lecz okazywał to w inny sposób. Przestał się czegokolwiek bać. Stał się nieustraszony, ryzykując życie w głupich sztuczках takich jak skimboarding, jego obecne niebezpieczne hobby. Tash wiedziała, że potrzebował kogoś, by nad nim czuwał. A ku swojemu zdziwieniu doszła do wniosku, że nawet lubiła małego szczura.

Więc zamiast zamykać się na galaktykę, Tash postanowiła zmierzyć się z nią razem z nim.

Obiecała sobie, że już nigdy nie straci nikogo bliskiego.

Tash wkroczyła do kokpitu Lightrunera, z wszystkimi jego delikatnymi instrumentami i pokrętłami. Fotele pilotów były puste, ponieważ Lightrunner leciał na autopilocie.

Wślizgnęła się w fotel pilota. Sprawdziła dwa razy, by się upewnić, że systemy nawigacyjne były bezpiecznie zablokowane w trybie automatycznym, następnie chwyciła dwa drągi kontrolujące główne silniki.

W swoim umyśle zobaczyła obraz o wiele ostrzejszy niż jakakolwiek holoprojekcja.

Imperialna stacja bojowa otoczona była hordą myśliwców TIE, nie mogących się doczekać starcia z młodym Rycerzem Jedi.

Zagubiona w swojej wyobraźni, Tash również nie mogła się doczekać, by sprostać ich wyzwaniu.

Zak nie stracił wiary w wujka Hoole'a. Prawdę mówiąc, patrząc na jego plecy, podczas gdy antropolog śleczął nad swoją pracą, Zak robił się zły.

To było niesprawiedliwe. Hoole przygarnął ich z własnej woli, lecz zupełnie nic im o sobie nie powiedział. Nawet nie powiedział im, dokąd zmierzali. To dręczyło Zaka, i wiedział, że również dręczyło to jego siostrę. Przez ostatnie sześć miesięcy Hoole ciągnął ich ze sobą przez całą galaktykę, robiąc swoje badania, lecz nigdy im niczego o nich nie powiedział.

- Dokąd zmierzamy? - Zak w końcu spytał.

Hoole podniósł wzrok ze swojej pracy. Prychnął na Zaka.

- Wciąż tu jesteś? Aha, no dobrze. Planeta nazywa się D'vouran. Mówi ci to coś?

- Nie.

- To sobie idź.

- Co tam będziesz robił?

Hoole był wyczerpany. Podał Zakowi datapad.

- Przeczytaj ten plik. Ale tylko ten!

Plik opowiadał historię planety.

D'vouran był typową planetą utrzymującą życie: kontynenty porośnięte drzewami, słone niebieskie morza, świeże, nadające się do oddychania powietrze. Według plotek, była to

najbogatsza i najpiękniejsza planeta w promieniu tysiąca lat świetlnych. Była zamieszкана przez istoty, które zwały się Enzeenami. Były inteligentne i bardzo przyjazne. Biorąc pod uwagę setki niesamowitych niezbadanych planet w galaktyce, D'vouran nie wydawał się wart czasu antropologa. Za wyjątkiem jednej rzeczy.

Nikt jej wcześniej nie zauważył.

D'vouran znajdował się mniej niż rok świetlny od jednego z głównych szlaków kosmicznych, a mimo to nigdy się nie pokazywał na żadnych mapach. Jednego dnia planety nie było, a następnego już była.

- To oczywiście niemożliwe - powiedział Hoole, gdy Zak skończył czytać. - Planety nie ukazują się znikąd. To błąd w mapach.

- Aha. - Nie myśląc, Zak wcisnął „następny” na datapadzie i nowy plik pojawił się na ekranie. Zobaczył tylko słowa IMPERIALNE ROZKAZY oraz PŁACA OTRZYMANA, zanim Hoole nie odebrał mu urządzenia.

- Mówiłem ci, żebyś nie czytał nic innego!

- Przepraszam, ja tylko-

- Tylko weszyles - Hoole wszedł mu w słowo. - Nigdy więcej tego nie rób w mojej kabinie. - Shi'ido stanął nad Zakiem, górując nad nim groźnie. - Jeśli mnie nie posłuchasz, będziesz bardzo, bardzo żałował.

Hoole jeszcze bardziej przybliżył się do Zaka, który przełknął ślinę. Cokolwiek Hoole planował, nie miał okazji tego zrobić. Zarówno on, jak i Zak zostali rzućeni na podłogę przez nagłe szarpnięcie. Lightrunner się zatrzęsł i jęknął, jakby złapała go jakaś ogromna siła. Ponad rykiem silników, Zak usłyszał, jak jego wujek wołał:

- Straciliśmy kontrolę!

ROZDZIAŁ 3

Zak oraz wujek Hoole pobiegli do kokpitu, prawie że upadając na ziemię za każdym razem, gdy statek się zakołysał. Gdy dotarli do pokoju pilota, Tash wciąż siedziała przy kontrolach z rękoma bladymi ze strachu i oczami szeroko otwartymi.

- Nic nie zrobiłam! - powiedziała, panikując. - Niczego nie dotykałam!

Przez szybę widać było, że wyskoczyli z hiperprzestrzeni. Byli w realnej przestrzeni, a Lightrunner spadał w stronę niebiesko – zielonej planety.

Szczęka wujka Hoole'a się zacisnęła, gdy popatrzył na Tash.

- Odsuń się.

Wstała z fotela, a Hoole usiadł na jej miejsce i zaczął pracować z kontrolami w pośpiechu. Deevee dołączył ostatni, z trudem utrzymując równowagę. Droid usiadł w drugim fotelu i zaczął pomagać swojemu panu.

- Rozbijemy się! - krzyknął Zak.

Powierzchnia planety się do nich zbliżała. Ręce Hoole'a przeleciały nad panelem kontrolnym Lightrunera. Z początku nic się nie zmieniło – nadal spadali, a planeta robiła się coraz większa i większa. Lecz ich wujek wcisnął jeszcze jeden przycisk i pociągnął za joystick i Lightrunner uniósł dziób.

- Nie dotykałam niczego, czego nie powinnam była. - powiedziała cicho Tash.

- Co się stało? - spytał Zak.

Wujek Hoole wskazał na światełko.

- Statek został wyciągnięty z hiperprzestrzeni.

Zak i Tash wciąż nie wiedzieli wszystkiego o astrofizyce, lecz rozumieli podstawy podróży kosmicznych równie dobrze, co podstawową matematykę. Statki kosmiczne używały dwóch różnych rodzajów silników. Hipernapędy służyły do podróży w alternatywnym wymiarze zwanym nadprzestrzenią, umożliwiając pokonywanie ogromnych odległości w krótkim czasie. Te potężne silniki działały tylko wtedy, gdy w pobliżu nie było źródła grawitacji. Na planecie, albo w jej pobliżu, statki kosmiczne korzystały z wolniejszych silników podświetlnych.

Hoole kontynuował:

- Kazałem nawikomputerowi obrać kurs, który by nas automatycznie wyciągnął z hiperprzestrzeni zaraz przed dotarciem do planety D'vouran. Ale...

- Ale co? - spytał Zak.

Hoole raz jeszcze sprawdził odczyty.

- Zdaje się, że dotarliśmy do celu piętnaście minut przed czasem.

- I grawitacja D'vourana wyciągnęła Lightrunera z hiperprzestrzeni! - dopowiedział Zak.

Tash popatrzyła na niewinnie wyglądającą niebiesko-zieloną planetę.

- Próbujesz powiedzieć, że ta planeta chciała nas zassać?

Zak przewrócił oczami.

- Proszę cię, to tylko grawitacja, Tash. Wujku Hoole, musi być błąd w nawikomputerze. Albo to, albo planeta się przemieściła.

Hoole nie spuszczał wzroku z instrumentów.

- Planety się nie przemieszczają. A z nawikomputerem wszystko w porządku. - rzucił okiem na Tash. - Prawdopodobnie ktoś szperał przy instrumentach.

- Nie dotykałam niczego, czego nie powinnam była. - powtórzyła Tash.

Lecz Hoole nie był usatysfakcjonowany.

- Znowu tu śniłaś na jawie. To jest prawdziwy statek kosmiczny, nie miejsce, żebyś udawała że jesteś Rycerzem Jedi.

- Przepraszam. - powiedziała Tash, spuszcżając wzrok.

Hoole zignorował jej słowa.

- Zapnijcie się. Zejście nie będzie przebiegało gładko.

To było niedopowiedzenie. Silniki podświetlne straszły, że zawiodą z każdą mijającą chwilą, a stabilizatory statku nie działały. W miarę wkraczania coraz głębiej w pole grawitacyjne D'vourana, każda część Lightrunera skrzypiała. Pomimo tego, wujek Hoole zachowywał spokój. Tylko zaciśnięta szczęka i zmarszczone brwi zdradzały, że się martwi.

- Uda nam się? - spytał Zak, gdy silniki Lightrunera parsknęły.

Hoole nie odpowiadał.

Przez szybę Tash widziała rozchodzące się chmury i pojawiający się pod nimi zielony las. Na horyzoncie pojawił się biały punkt, powoli rosnąc. Statek jęknął, gdy Hoole skręcił w jego stronę.

- Czy to port kosmiczny? - spytał Zak - Bardziej przypomina jakieś wysypisko.

Lightrunner się nie rozpadł. Silniki utrzymywały ich w powietrzu, gdy Hoole pilotował statek w stronę małej platformy. Gdy włączyły się masywne repulsory, powoli zniżając statek na platformę, Hoole odetchnął z ulgą. Lecz wtedy Lightrunner zatrzęsł się po raz ostatni i silniki zgasły.

- To nie brzmi najlepiej - powiedział Hoole - Powinniśmy przyjrzeć się silnikom.

- Dobra! - krzyknął Zak, zrodzony majsterkowicz. - Chodź, Tash.

- Jasne.

Tash wciąż nie mogła się otrząsnąć z bliskiego wypadku. Była pewna, że niczego na statku nie zepsuła. Owszem, śniła na jawie o Rycerzach Jedi, lecz nie zasługiwała sobie, by być za to skrytykowaną.

Szła za bratem w stronę wyjścia. Wolałaby mieć wyrwanego zęba niż oglądać silnik statku kosmicznego. Gdy odpięła się w końcu z siatki zabezpieczającej, Zak i wujek Hoole spuścili już rampę i byli na zewnątrz.

W chwili, gdy Tash dotarła do drzwi, w jej brzuchu pojawiła się dziura. Ogarnęło ją poczucie przerażenia – jakby jakieś ogromne zło znajdowało się tuż przed nią, gapiąc się na nią, mając zamiar ją lada chwila zaatakować. Miała kiedyś takie uczucie – w dzień śmierci jej rodziców. Zatrzęsa się.

Lecz niczego tam nie było. Wyrzała przez właz, lecz jedyne, co widziała, to lądowisko portu kosmicznego i niebieskie niebo nad nim. Pomimo tego, uczucie nie przechodziło. Coś tam było, na zewnątrz.

- Zak? Wujku Hoole? - szepnęła. - Deevée?

Brak odpowiedzi.

Tash wylazła przez właz Lightrunera. Port kosmiczny był bardzo cichy. Większość portów kosmicznych była pełna przylatujących i odlatujących statków, pracowników wyładowujących towar, pilotów biegających z i na dziesiątki platform oraz droidów

naprawiających drobne usterki. Nie tutaj. Port kosmiczny D'vourana wyglądał na opuszczony, a na platformie było tylko kilka statków. Wszystkie z nich wyglądały jak latające kupy złomu – skłcone z części statki biednych podróżników.

Uzucie bycia obserwowanym nie przechodziło.

Tash zrobiła kolejny krok. Gdzie był jej brat?

- Zak? - szepnęła...

...Po czym coś zimnego i oślizgłego owinęło się jej wokół szyi.

ROZDZIAŁ 4

- Aaaa! - wrzasnęła, ciągnąc za to coś, co ją chwyciło. Było miękkie i oślizgłe, a gdy pociągnęła, urwało się. Tash zobaczyła, że miała w rękach pełno kwiatów.

- Ładnie ci idzie, Tash – Zak się zaśmiał, obchodząc bok statku z Deeveem przy boku. Zarówno on, jak i Deevee mieli na szyjach naszyjniki z kwiatów. - Jestem pewien, że Enzeenowie bardzo doceniają sposób, w jaki niszczysz ich podarunki.

Zak wskazał na osobę stojącą obok Tash. Była zbyt zdenerwowana, by dokładnie się jej przyjrzeć. Przypominał człowieka, z tym, że miał niebieską skórę, a zamiast włosami, jego głowa była pokryta krótkimi igłami. Był przy kości, z grubymi palcami i okrągłą twarzą, na której widniał promienny uśmiech. W rękę trzymał parę pierścieni z kwiatów.

- Witaj na D'vouranie. Jestem Chood, Enzeen.

- M-miło cię poznać - wybełkotała Tash. - Przepraszam za, mm..

- Naszyjnik przyjaźni - dokończył Chood - W porządku. Weź sobie drugi. - Zawiesił jej na szyi kolejny naszyjnik z kwiatów.

- Enzeenowie używają ich, by powitać gości na swojej planecie - wyjaśnił Deevee, wychodząc zza boku statku. - Idiotyczne, moim zdaniem.

- Jeślibyś wyszła razem z nami, to byś nie była taka zdziwiona. - dodał Zak.

- Gdzie byliście? - spytała Tash. - Wołałam cię.

Zak wskazał na ogon statku.

- Wybacz. Wujek Hoole otworzył zewnętrzne panele stabilizatorów pionowych i poszedłem z nim żeby pooglądać. Nigdy wcześniej nie widziałem wnętrza silnika jonowego.

- Fascynujące - powiedział Deevee z takim sarkazmem, na jaki droid mógł się zdobyć.

Wujek Hoole się pojawił, ocierając z rąk olej i marszcząc brwi jeszcze bardziej niż zwykle.

- Uszkodzenia są poważne. Chood, czy jest jakiś D'vouranin, który mógłby nam pomóc naprawić nasz statek?

Enzeen popatrzył na niego ze współczuciem.

- Przepraszam, lecz my, Enzeenowie, nie jesteśmy najlepszymi podróżnikami i nie wiemy zbyt wiele o statkach kosmicznych. Prawdę mówiąc, mamy bardzo małe zapotrzebowanie na technologię. Jednakże na planecie są liczni piloci, którzy może mogliby wam pomóc. Większość z nich spędza czas w lokalnej kantine.

- Wspaniale - powiedział Hoole - Czy mógłbyś nas tam zabrać?

Enzeen uklonił się nisko.

- Byłbym zaszczycony.

Chood poprowadził ich w dół szerokimi schodami. Zaraz za wyjściem z kosmoportu stał duży znak w Basicu, uniwersalnym języku używanym przez większość gatunków w galaktyce. Widniało na nim: WITAMY NA D'VOURAN. NASZYM CELEM JEST SŁUŻBA.

- Przyjazny znak - powiedział Zak.

- No - przyznała ponuro Tash.

Jej brat się do niej przybliżył i wyszeptał:

- Co z tobą nie tak? Ten Chood stara się jak może, byśmy się poczuli jak w domu, a ty wyglądasz, jakby ktoś ci planował pogrzeb.

- Nie mogę nic na to poradzić - odpowiedziała mu szeptem. - Mam po prostu złe przeczucia co do tego miejsca.

- Ty zawsze masz jakieś złe przeczucia - odparł.

Chood poprowadził ich przez małe miasteczko obok kosmoportu. Zakowi i Tash wydawało się prymitywne. Nie widzieli żadnych pojazdów, a większość domów była małymi, jednopiętrowymi budowlami wykonanymi z błota. Minęli liczne osoby. Większość z nich stanowili ludzie, lecz było wśród nich także trochę obcych. Co jakiś czas widywali jakiegoś Enzeena i Tash zauważyła, że wszyscy wyglądali bardzo podobnie do Chooda, z pulchnymi niebieskimi ciałami, kolcami na głowach i szerokimi, przyjaznymi uśmiechami. Każdy Enzeen, którego napotkali, zatrzymał się, by się z nimi przywitać i powitać ich na D'vouranie, tak, jakby byli starymi znajomymi.

- Czy to całe miasto? - spytał Zak - Nie ma tu nawet gdzie jeździć na skimboardzie!

- Tak - potwierdził Chood - Jest jeszcze parę domów bliżej lasu, lecz większość jest tutaj, w mieście. W sumie to bardziej wiosce.

Chood radośnie opowiedział o niedalekiej przeszłości D'vouranu. Od kiedy zostało „odkryte” przez osoby z zewnątrz, Enzeenowie zapraszali ludzi na swoją planetę.

- Nas, Enzeenów, nie ma dużo - wyjaśnił. - A nie lubimy podróżować. Zapraszanie innych na D'vourana to jedyny sposób, by się uczyć o galaktyce.

- Jak D'vouran został odkryty? - spytał Zak.

- Statek transportowy - odpowiedział Chood - Nie spodziewał się, że D'vouran tu będzie i został zaskoczony przez grawitację planety. Rozbił się. Gdy spoza planety przyleciał lot ratunkowy, by zbadać sprawę, odkryli naszą planetę i naszą gościnność. Słowo się rozniosło.

Tash zauważyła, że wujek Hoole nie zadawał żadnych pytań. Postanowiła więc sama się wypowiedzieć:

- Czy ktokolwiek ocalał z pierwotnej katastrofy?

Chood się zawahał.

- Tylko jedna osoba. Reszta zginęła w wypadku.

- Czy od tej pory pojawiło się tutaj dużo imigrantów? - spytał Zak - Znaczy się, to miejsce brzmi dość nudno.

- Zak! - upomniała go Tash.

Lecz Chood nie wydawał się urażony. Przynajmniej uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Jest tutaj kilkaset. To niezły początek jak na planetę, która jeszcze nie została umieszczona na oficjalnych mapach gwiazdnych. Lecz będzie więcej. D'vouran ma idealną pogodę oraz mnóstwo bogactw naturalnych. W najbliższym czasie spodziewamy się tysięcy.

- Nie martwicie się, że D'vouran zostanie przeludniony? - dodała Tash

- Och, nie - odparł Enzeen - Podobałoby nam się to. Jesteśmy bardzo gościnni.

Poprowadził ich krótką ślepą uliczką. Na jej końcu stał niski budynek z szeroko otwartymi drzwiami. Ze środka dobiegała głośnie muzyka połączona ze śmiechem oraz krzykami. Nad drzwiami wisiał znak z nazwą lokalu: KANTYNA LEPIEJ NIE WCHODZIĆ. Zarówno Tash, jak i Zak się zaśmiali, widząc znak.

Do tej pory, Chood im powiedział, większość przybyszów, którzy dotarli na D'vourana, była wędrowcami i poszukiwaczami skarbów, mających nadzieję dużo znaleźć na planecie, której nie było na mapie.

- Ale - dodał - Zachęcamy rodziny, takie jak wy, byście zamieszkali na naszej szczęśliwej planecie. D'vouran to niebo.

W tej chwili ktoś wyleciał przez drzwi kantyny, lądując twarzą w pyłowej ulicy.

- Myślisz, że on się zgadza? - zaśmiał się Zak.

- Obawiam się - przyznał Chood - że niestety mamy też nieco zbirów.

- I oto oni - powiedział Deevee.

Tłum opryszków wylazł z Kantyny Lepiej Nie Wchodzić. Stanęli przed budynkiem, gapiąc się na człowieka, którego właśnie wyrzucili na bruk.

- I zostań tutaj, Bebo! - jeden z nich zawołał.

- Nie pokazuj się tu więcej ze swoimi zrytymi opowieściami! - dodał Inny - Mamy dosyć słyszenia o niewidzialnych potworach!

- Taa - parsknął kolejny - nie potrzebujemy, byś nam robił problemy! - Rzucili mu jeszcze kilkoma obelgami i ostrzeżeniami, zanim znów zniknęli w cieniach kantyny.

Tash przykucnęła obok mężczyzny, który właśnie zdołał wstać na kolana.

- Wszystko w porządku?

- Oni nie będą słuchać! - powiedział facet - Oni po prostu nie będą słuchać.

Jego ubrania stanowiły podarte szmaty. Włosy miał szare pod warstwą brudu, a jego broda była rozczochrana i rzadka. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wyszedł z dziczy.

- Ja posłucham - zaoferowała Tash.

Mężczyzna popatrzył na nią kątem oka. Złapał się za pogięty kołnierz.

- Nie pozwolę i tobie mnie wyśmiewać! Jestem wystarczająco bezpieczny! Nie muszę próbować pomóc ani im, ani komukolwiek innemu!

Tash spojrzała na Chooda.

- Wiesz, o czym on mówi?

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Chood - Nazywa się Bebo. Jest niegroźny, lecz nie do końca racjonalny.

Dzikus Bebo gapił się na Tash.

- Powinienem iść po Lonni. Może oni jej uwierzą. Tak, tak. Ale raczej nie przyjdzie. Za bardzo się boi. Ale muszę spróbować. Tak. To właśnie zrobię. Lonni.

Mężczyzna wstał na nogi i odszedł, wciąż gadając do siebie.

- Powiedziałbym, że brak mu piątej klepki - odezwał się Zak.

Chood wskazał na drzwi.

- Oto kantyna, o której wam mówiłem - wyjaśnił. - Obawiam się, że nie jest to najładniejsze miejsce na D'vouranie, lecz chcieliście znaleźć pilota, który mógłby wam pomóc ze statkiem. Znajdziecie też w środku tyle darmowego jedzenia, ile dacie radę zjeść. Od Enzeenów.

Oczy Zaka się zaświeciły.

- Darmowe zarcie! Już mi się podoba to miejsce.

- Da radę - powiedział Hoole - Dziękuję ci za pomoc.

- Proszę, myślcie o sobie jako o honorowych gościach na D'vouranie. Jeśli jest cokolwiek, co byśmy mogli zrobić, proszę, powiedzcie mi.

- Jest jeszcze jedno - odparł Shi'ido - Będę robił pewne... interesy... Zacznę jutro. Zak i Tash będą potrzebowali miejsca, gdzie będą mogli zostać, pod nadzorem swojego opiekuna, Deevee.

Deevee wydał z siebie elektroniczny skrzek.

Chood uniósł jedną rękę.

- Proszę, nie mówcie nic więcej. Byłby to zaszczyt, gdyby mogli zostać razem ze mną. Mieszkam niedaleko stąd.

- Co?! - krzyknęła Tash - Wujku Hoole, nigdy nie mówiłeś, że nas zostawisz!

- Mam do zrobienia badania antropologiczne, Tash. Nie będę miał czasu, by się wami zajmować. - powiedział spokojnie Hoole.

- Ale... ale nas zostawisz! - powiedziała.

- To nie zajmie długo - obiecał jej wujek - Ewidentnie możesz polegać na Choodzie, a poza tym będzie Deevee. W czym więc problem?

Usta Tash zwały się w cienką, prostą linię. Jak mogła to wyjaśnić? Jak Hoole mógł nie rozumieć? Jej rodzice zostawili ich pod opieką nieznajomego i potem umarli. Teraz Hoole robił to samo. A to uczucie bycia obserwowanym wciąż niepokoiło Tash. Lecz wiedziała, że nie może sprawić, by Hoole zrozumiał, więc nic nie mówiła.

Hoole zwrócił się z powrotem do Chooda.

- A więc postanowione. Jeszcze raz ci dziękuję.

Chood się uklonił.

- Naszym celem jest służba. - Powiedział im, gdzie mieszka, następnie się odwrócił.

Tash i Zak bywali wcześniej w kantynach, lecz nigdy w takim miejscu jak to. Zamiast jasno oświetlonego pomieszczenia, w którym można było zobaczyć, co się je i pije, Kantyna Lepiej Nie Wchodzić była ciemna i zadymiona. Tash nie mogła powiedzieć, ile osób było w środku, ponieważ wszyscy trzymali się w cieniu. Połowa z nich szeptała między sobą, podczas gdy druga połowa głośno krzyczała wokół stołów do sabacca lub przy barze.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do mroku, Zak i Tash byli w stanie wyodrębnić poszczególne osoby w barze. Większość z nich była ludźmi, lecz było też trochę innych gatunków. Poznali między innymi Devaronianina, Shistavanena oraz gigantycznego Wookieego górującego nad grupką ludzi w kącie. Ręce, albo macki, albo płetwy, były owinięte wokół kufli pełnych dziwacznych napoi. Każdy wyglądał tak, jakby miał za sobą liczne pojedynki i szukał kolejnego.

Nowo przybyli mieli właśnie zamiar usiąść przy małym stole, gdy ktoś ryknął:

- Hoole!

W tym samym czasie Tash poczuła, jak wielka dłoń łapie ją za koszulę i dociska do ściany.

Miała blaster wycelowany prosto między oczy.

ROZDZIAŁ 5

Dłoń oraz ręka trzymająca blaster były prawie tak duże, jak Tash, a ciało, do którego były przymocowane, było jeszcze większe. Patrząc do góry, Tash poznała kwadratowy, brzydki pysk Ganka.

Zabójca Gank, jak się ich zwykło nazywać. Widziała dlaczego. Jego kwadratowa żółta mordą była wykrzywiona w trwały sposób, a nad nią była para okrutnych małych oczek. Jego masywne ramiona wyglądały jak małe wzgórza, a jego ręce były grubości pni drzew.

Gankowie zwykle pracowali jako najemni zabójcy i ochroniarze bogatych kryminalistów. Dlaczego ten postanowił do niej wycelować?

Tash otrzymała odpowiedź po krótkiej chwili. W kantine zapadła cisza i wszyscy nagle skupili wzrok na sytuacji, czekając, co się stanie. Kątem oka Tash zauważyła, że Zak też został chwycony i w jego głowę również został wycelowany blaster. Ktoś nawet celował z blastera do Deevee. Tylko wujek Hoole pozostawał nietknięty. Stał twarzą w twarz z najbardziej odrażającą istotą, jaką Tash kiedykolwiek widziała. Był to olbrzymi ślimak, z dwoma małymi rączkami wystającymi z tłustego cielska. Gdy mówił, ślina ciekła mu z kącików szerokich ust. To ta istota ryknęła imię Hoole'a. Chwilę później Tash dowiedziała się, kim było to stworzenie.

Smada Hutt.

- Hoole! - powtórzył Smada Hutt - Cóż za miła niespodzianka.

- Powiedz swoim zbirom, żeby puścili dzieci, Smada - powiedział Hoole niskim głosem.

- Nie - odparł oślizgły Hutt - Nie, dopóki nie będziemy mieli szansy porozmawiać. A propos, w chwili, gdy użyjesz tych swoich zmiennokształtnych mocy, moi ochroniarze zamienią twoich małych przyjaciół w karmę dla banth.

- Zostawcie nas! - rozkazał Zak.

- Czego chcecie? - spytała Tash.

Skóra Smady Hutta się zakołysała, gdy odchrząknął, patrząc na Tash.

- Proste. Chcę, by twój wujek dla mnie pracował. Potrzebuję najemnika, by zrobił porządek z paroma moimi wrogami, a zmiennokształtność Hoole'a robi z niego idealnego kandydata.

- Jesteś chory! - odpowiedziała Tash. - Wujek Hoole to naukowiec, nie zabójca!

Smada Hutt się zaśmiał.

- Ho, ho! Czyżby? Cóż, powiedziałbym, że nie wiecie zbyt wiele o swoim wuju.

Tash była wstrząśnięta. Co on miał przez to na myśli?

- Tracisz czas, Smada. - powiedział Hoole - Co w ogóle robisz na tej planecie?

Smada otarł z pyska ślinę.

- Wojny gangów na mojej ojczystej planecie zmusiły mnie do wzięcia krótkiego urlopu.

- Masz na myśli ukrycia się, co? - Zak wszedł mu w słowo.

- Prawdę mówiąc, te wojny gangów są powodem, dla których potrzebuję nowego zabójcy. Dopóki jednego nie znalazłem, ta nowa planeta wyglądała na idealne miejsce, by się zaszyć na jakiś czas. - Smada pochylił się do przodu, dopóki jego twarz nie znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od Hoole'a. - I miałem rację. Ponieważ łut szczęścia sprawił, że i ty się tutaj pojawiłeś. A teraz będziesz dla mnie pracował.

Hoole potrząsnął głową.

- Odmówiłem ci, gdy się ostatnio widzieliśmy, Smada.

Hutt warknął.

- A ja ci powiedziałem, że nikt nie odmawia Smadzie Huttowi. Powiedziałem ci też, że jeśli kiedykolwiek znowu się spotkamy, nie będę pytał już tak grzecznie. Więc jeśli nie zgodzisz się teraz dla mnie pracować, każę rozstrzelać twoje małe bachory.

Nagle z cieni wyłoniła się wysoka postać, celując w Smadę użytym blasterem.

- Nie sędzę - powiedział.

- To nie twoja sprawa, obcy - warknął Smada.

- Sprawiam, że się to staje moją sprawą - odparł z uśmiechem wysoki mężczyzna.

- I moją - dodała młoda kobieta, stawiając się u jego boku.

- Moją również - dopowiedział kolejny człowiek z jasnymi włosami. Odpalił dziwną, świecącą broń, wyglądającą na miecz zrobiony z czystej energii. Tash zaparło dech w piersiach. Miecz świetlny Jedi!

- Oraz jego - powiedział wysoki mężczyzna, wskazując na ogromnego Wookieego, którego Tash wcześniej widziała. Stworzenie wydało z siebie groźny ryk.

Jeśli wzrok mógłby być laserem, Smada zabiłby już ich wszystkich. Lecz ewidentnie nie chciał walki.

- D'vouran to mała planeta, Hoole. Jeszcze się spotkamy.

Smada dał znak swoim łotrom, którzy uwolnili Zaka i Tash. Tash zobaczyła, że Smada siedział na platformie repulsorowej, która unosiła się w powietrzu. Z ochroniarzami wokół siebie, Smada Hutt wyleciał z kantyny. Jako że nie było już co oglądać, reszta gości wróciła do swoich spraw i hałas powrócił.

Wysoki człowiek oraz kobieta schowali swoje blastery, podczas gdy blondyn dezaktywował swój miecz świetlny. Za nimi były dwa droidy, gruba jednostka R2 oraz złoty droid protokolarny.

- Oh, cóż za ulga! - powiedział Droid - Czy nie powinniśmy powiadomić służb porządkowych?

- Zamknij się, Threepio - odpowiedział wysoki facet - Tutaj nie ma żadnych służb porządkowych. Tylko Enzeenowie, a oni są zbyt przyjaźnie nastawieni, by zrobić cokolwiek ze Smadą. - popatrzył na Hoole'a. - Wszystko w porządku?

- Tak - odezwał się Hoole - Na szczęście Smada był bardziej zainteresowany wygrazaniem się, niż krzywdzeniem kogokolwiek. Dziękuję wam za pomoc.

- O co w tym wszystkim chodziło? - Tash spojrzała na wujka.

- Zdawał się ciebie znać - zauważył młody mężczyzna z mieczem świetlnym.

Hoole się zawahał. W końcu, ostrożnie, powiedział:

- Tak. On... zaoferował mi pracę kilka lat temu. Gdy się nie zgodziłem, obiecał mi, że się zemści. To czysty przypadek, że znaleźliśmy się na tej samej planecie.

- Niezbyt szczęśliwy, powiedziałabym - dodała kobieta. - Ten Smada nie jest najmiłszy, nawet jak na Hutta.

- Znałem gorszych - powiedział wysoki mężczyzna.

Shi'ido postanowił się przedstawić.

- Nazywam się Hoole.

- Jestem Han Solo. Mów mi Han - powiedział wysoki facet. Miał pewność siebie pilota. - To mój partner, Chewbacca - dodał, wskazując na Wookieego. Następnie pokazał na kobietę. - A to jest-

- Księżniczka Leia - dokończyła Tash.

Kobieta zamruwała. Wszyscy nowo przybyli rozejrzeli się, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchiwał. Ręka Hana Solo powędrowała ku blasterowi, który miał zawieszony na udzie.

Młody mężczyzna z mieczem świetlnym zauważył ruch i powiedział:

- Jest w porządku, Han.

- Nie chcę ryzykować - odparł Han.

Kobieta, Leia, delikatnie położyła swoją dłoń na ręce Hana.

- Pozwól mi się tym zająć. - Następnie zwróciła się do Tash: - Dlaczego sądzisz, że tak się nazywam?

Zak potrząsnął głową.

- Musisz. Tash zawsze ma rację w takich sprawach. To dziwne.

- Wcale nie takie dziwne! - powiedziała Tash - Zak i ja mieszkamy na Alderaanie, skąd pochodzisz. To znaczy, mieszkaliśmy... zanim... no, wiesz.

Widziała z twarzy kobiety, że Leia doskonale wiedziała, co się stało z Alderaanem.

Obok niej, Zak prawie że krzyknął:

- Hej, czy wy jesteście Rebeliantami?

- Zak! - syknęła Tash.

Han zmarszczył twarz.

- Zajmujemy się własnymi sprawami, tak jak i ty powinienes.

- Jesteśmy... badaczami - Leia weszła mu w słowo. - Szukamy na tej planecie paru naszych przyjaciół. Właśnie mieliśmy zamiar wychodzić, ale nie mogliśmy pozwolić temu Huttowi was tak szantażować.

- Też jestem badaczem - powiedział Wujek Hoole. Lecz Tash pamiętała słowa Hutta: nie wiecie zbyt wiele o swoim wuju.

Nie wiem zbyt wiele o większości ludzi, Tash pomyślała. Leia była księżniczką na Alderaanie. Cokolwiek robiła z tymi ludźmi, było to o wiele ważniejsze niż „badania”.

- Może - zaczęła z wahaniem Tash - moglibyśmy usiąść na chwilę. Moglibyście nam powiedzieć o swoich badaniach-

- Oczywiście - powiedziała Leia, rzucając okiem na Hana. - Zostaniemy, przynajmniej, dopóki nie będziemy pewni, że ten Hutt nie wróci.

Dwie grupy usiadły razem przy stole. Han Solo położył nogi na puste krzesło.

- Zamawiajcie cokolwiek chcecie. Żarcie jest darmowe. Ci Enzeenowie będą was karmili, dopóki nie eksplodujecie.

Wujek Hoole przytaknął.

- Spotkaliśmy tylko jednego, lecz wydawał się bardzo przyjazny.

Ku radości Zaka, zamówili jedzenie od mijającego ich kelnera. Chwilę później Enzeen znowu się pojawił z talerzami pełnymi różnej maści egzotycznych mięs, pieczywa i owoców. Zak pokręcił nosem na talerz pełny insektów polanych różowym sosem. Lecz gdy zamoczył palec w sosie i go skosztował, oczy mu się zaświeciły i zaczął je wcinać. Jediną osobą przy stole, która mu dorównywała, był Wookiee.

Tash nie miała apetytu. Żołądek miała związany – uczucie strachu jej nie przeszło. Próbowwała je ignorować. To pewnie była tylko jej wyobraźnia, a nie zamierzała robić z siebie idiotki, tak jak to zrobiła, gdy Enzeen założył jej na szyję kwiaty.

Gdy zaczęli jeść, wszyscy się rozluźnili. Nawet Han Solo wydawał się zainteresowany, gdy wujek Hoole i Zak opisywali ich podróż. Lecz Tash przerzucała się z jednej rozmowy na drugą, nie mogąc się skoncentrować. Deevee został otoczony przez C-3PO oraz jego towarzysza, R2-D2.

-...i potem znalazłem się sam na planecie Tatooine, idąc przez tę okropną pustynię! - mówił Threepio - Było fatalnie!

- Fascynujące, jestem pewien - odparł Deevee. Wyglądał na tak znudzonego, jak tylko znudzony mógł być droid.

- Poczekaj, aż usłyszysz, co się potem stało! - ekscytował się Threepio.

- Nie byłeś czasem zdezaktywowany ani nic, nie? - spytał Deevee.

- Cóż, nie.

- Szkoda - wymamrotał nieszczęśliwy droid. - Cóż, możesz w takim razie kontynuować, jeśli chcesz...

Tash z trudem mogła się skoncentrować. Może to było egzotyczne jedzenie, albo może uczucie bycia obserwowanym rosło, ale myślała, że zaraz jej będzie niedobrze. Odczucie było tak silne, że zupełnie zapomniała o blondynie z mieczem świetlnym, dopóki nie pochylił się nad stołem, by do niej przemówić.

- Czy wszystko w porządku? - spytał.

- Yyy, tak. W porządku. - powiedziała.

Młodzieniec się uśmiechnął.

- Nazywasz się Tash, tak? Ja jestem Luke. Luke Skywalker.

Coś w nim sprawiało, że dziwnie się czuła. Nie „dziwnie”, tak jak w obecności niektórych chłopców na Alderaan – wyrosła już z tego. To było bardziej coś jak... ulga. Tash czuła, jakby czekała całe życie, by spotkać kogoś takiego jak Luke Skywalker.

Jego niebieskie oczy przeszły ją na wylot.

- Coś cię dręczy.

- No w sumie tak - zaczęła. Nigdy nie lubiła mówić ludziom o uczuciach, jakie czasem miewała. Lecz z łatwością przychodziło jej mówienie mu teraz. - Chyba po prostu czuję się tutaj trochę nieswojo. Nie wiem dokładnie co, ale coś mnie dręczy. To pewnie tylko moja wyobraźnia. - Nie spodziewała się, że ją zrozumie, jako że nikt jej nigdy nie rozumiał.

Ku jej zdziwieniu, Luke powiedział:

- Niezbyt dawno temu dobry przyjaciel nauczył mnie czegoś bardzo ważnego: ufaj swoim uczuciom.

Z sąsiedniego krzesła Chewbacca ryknął Hoole'owi pytanie, które Han przetłumaczył:

- Więc wyskoczyliście z nadprzestrzeni piętnaście minut za wcześnie?

Wujek Hoole przytaknął.

- Zrobiło nam to dużo szkód w statku.

- To samo stało się nam. Mój statek, Sokół Millenium, został całkiem nieźle poturbowany. - pilot potrząsnęła głową. - Nie wiem, może to po prostu błąd w mapach gwiazdnych.

- Może - zgodził się wujek Hoole - Ale w naszym przypadku to chyba wynikało z jakichś problemów na pokładzie. - Popatrzył na Tash.

Zak się zaśmiał.

- Ma na myśli Tash. Bawiła się w Rycerza Jedi w kokpicie.

Tash czuła, że się czerwieni. Luke Skywalker uniósł brew i uśmiechnął się do niej.

- A więc chcesz być Jedi, co?

- Czytałam o nich - przyznała. - Moi rodzice byli na Alderaan, gdy... no wiesz. Zawsze myślałam, że gdyby było więcej Jedi, nie pozwoliliby, by to się stało.

- Robią co mogą, Tash - powiedział Luke - To jedyne, co ktokolwiek z nas może zrobić.

- Czy- czy ty jesteś Jedi? - spytała prawie że szeptem, wskazując na jego miecz świetlny.

Luke potrząsnęła głową.

- Chciałbym powiedzieć, że tak. Ale nie, nie jestem. Ten miecz świetlny należał do mojego ojca.

Tash przytaknęła smutno.

- Mówią, że nie ma już Jedi. Więc nie wiem, jak miałabym znaleźć jakiegoś, żeby mnie nauczył.

Luke położył rękę na jej ramieniu. Wyszeptał:

- Nie trać jeszcze nadziei. Możesz być zaskoczona. Jakiś Jedi może pewnego dnia po ciebie przyjść.

Tash chciała wiedzieć, co ma przez to na myśli. Lecz nie dostała szansy, by go spytać. Ponieważ w tej chwili ktoś krzyknął.

ROZDZIAŁ 6

Krzyk dobiegał z zewnątrz, z okolic kantyny. Większość gości podniosła wzrok tylko na tyle, by się upewnić, że nie byli w niebezpieczeństwie, po czym ignorowali wrzaski. Przybyli na tą nową planetę, by uciec od problemów, a nie znajdować nowe.

Lecz wszyscy przy stole Tash podskoczyli na nogi i pobiegli do drzwi. Krzyki dobiegały z tyłu kantyny. Ich nowi przyjaciele – Tash była już pewna, że byli Rebeliantami, ponieważ byli tak odważni – wyciągnęli broń.

Lecz ulice były puste, za wyjątkiem dzikusa Bebo. Był na kolanach, drapiąc ziemię i krzycząc.

- Nie! Nie! Nie!

Tash nie bała się Bebo.

- Co się dzieje? - spytała.

- Ona zniknęła! Zniknęła! - powiedział szaleniec - Moja koleżanka Lonni stała tutaj minutę temu i po prostu zniknęła!

- Co masz na myśli przez „zniknęła”? - spytał Hoole.

Bebo wstał. Oczy mu się zaświeciły.

- Mam na myśli, że zniknęła! Była i jej nie ma! A to wszystko przeze mnie! Przekonałem ją, by wyszła z ukrycia. By ostrzegła wszystkich! Mnie nie wierzyli, ale jej mogliby. Wyszła, bo powiedziałem jej, że będzie bezpieczna! Ale jej nie ma. Stała tutaj, a chwilę później już jej nie było!

Choć nikt nie wyszedł z kantyny, parę osób podeszło, by zobaczyć, co się dzieje. Tash stwierdziła, że ci ludzie byli lepiej wyglądającym tłumem. Pewnie rodziny i pionierzy, o których wspominał Chood. Lecz wydawali się równie niezainteresowani tym, co wygadywał Bebo. Prawdę mówiąc, większość z nich się śmiała.

- Dawaj, Bebo! Opowiedz nam jeszcze jedną! - ktoś wykrzyknął.

- Taa - ktoś dodał - Powiedz nam o znikających ludziach!

- I niewidzialnych potworach!

- Czy może niewidzialnych ludziach i znikających potworach?

Tłum się zaśmiał. Chood się pojawił i przez krótki moment Tash wydawało się, że widziała, jak uśmiech znika z jego twarzy na widok Bebo. Lecz po chwili znów się pojawił, równie promienny jak zawsze.

- Czym mogę służyć?

Tash wskazała na Bebo.

- On potrzebuje pomocy. Jego koleżanka zniknęła.

Chood westchnął.

- Przepraszam, jeśli to kogoś zaniepokoiło. Niestety Bebo już wielokrotnie robił takie cyrki. Zapewniam was, że nikt nie zniknął.

- Lonni zniknęła! - głos Bebo zamienił się w szept. - Ona była moją jedyną przyjaciółką.

Tash poczuła, jak coś jej ciąży na sercu. Wiedziała, jak to jest kogoś stracić.

- Jesteś szalony, Bebo! - ktoś zawołał.

Chood przytaknął.

- Niestety to prawda. Odkąd tutaj przybył, biedny Bebo nawijał ciągle o zniknięciach.

- To prawda! - odpowiedział Bebo - Oni zginęli. Cała załoga Mizantropa! Zniknęli!

Chood popatrzył z politowaniem na Bebo, następnie zwrócił się do Hoole'a i reszty:

- To przykra historia. Mizantrop był statkiem transportowym, który pierwszy się tutaj rozbił. Bebo był kapitanem i jedynym, który przeżył. Obawiam się, że poczucie winy wykończyło mu umysł. Stracił go do reszty.

- Nie, nie, nie! - krzyczał Bebo - Oni zniknęli. Wszyscy!

- Powinien być leczony na oddziale psychiatrycznym - zauważył Deevee.

- To nie takie proste - odparł Chood - Według oficjalnego raportu to on był winny katastrofie. Jeśli opuści planetę, zostanie wsadzony do więzienia. Lecz my, Enzeemowie, jesteśmy nieco bardziej wyrozumiali, więc pozwalamy mu tutaj mieszkać, pomimo faktu, że nieustannie zakłóca spokój, jaki usiłujemy tworzyć dla naszych osadników.

- Czy podejmowaliście jakieś działania w kierunku tego, co mówił na temat innych ocalałych? - spytał Hoole - Kim jest ta Lonni, o której mówi?

- Katastrofa została dogłębnie zbadana - odpowiedział Enzeen - Imperialni urzędnicy powiedzieli, że nie było żadnych ocalałych. Ta osoba, o której Bebo ciągle mówi, nie mogła przeżyć.

- To kłamstwo! - powiedział Bebo - Ona tu była!

- Naprawdę? - spytał Chood. Głos miał wciąż spokojny i przyjazny. - A więc proszę, Bebo, powiedz mi, gdzie była twoja koleżanka, gdy zniknęła?

Bebo wskazał na ziemię.

- Tam! Tam! Szliśmy sobie i puf! Już jej nie było!

- Szliście sobie, co? A więc czy to twoje ślady? - Chood wskazał na ciąg śladów stóp na drodze.

- Tak! Tam właśnie byłem.

- A więc gdzie są ślady twojej koleżanki? - spytał Enzeen.

- Ależ, one są właśnie... - Po raz pierwszy Bebo przestał do siebie mamrotać. Na ziemi nie było żadnych innych śladów. Nie było żadnych znaków, że ktokolwiek inny niż Bebo tam stał. - Ale ona była właśnie tam! Tam!

Chood wzruszył ramionami.

- Widzicie, całkiem stracił zmysły. Wielka szkoda.

- Nie możecie mu pomóc? Przynajmniej przeszukać wioski? - spytała Tash.

- Możemy, ale niczego nie znajdziemy - odparł Chood - Ludzie, którzy chcą zostać znalezieni na D'vouranie, są łatwi do znalezienia. Ci, którzy chcą się ukryć, cóż, to duża planeta.

Do tego czasu większość osadników straciła już zainteresowanie i wróciła do swoich spraw. Również wujek Hoole chciał już iść.

- Chodź, Tash - powiedział. - Ci ludzie zaoferowali nam pomoc naprawić Lightrunera i nie możemy im kazać czekać.

Gdy inni się odwrócili, Tash zwróciła się do Bebo:

- Przepraszam, że nie mogę ci pomóc. Żałuję, że nie mogę nic zrobić.

Bebo popatrzył na nią chłodno i ponuro.

- To nie ma znaczenia. Niedługo umrzecie. Wszyscy umrzecie.

ROZDZIAŁ 7

Wyraz twarzy Beba wciąż prześladował Tash, gdy szła za swoim bratem i resztą z powrotem do kosmoportu. Han i Chewbacca obejrzeni silniki Lightrunera i Han przytaknął.

- Nie martwcie się. Naprawimy ją w mgnieniu oka.

- Nie żartuje - powiedziała Leia - Skoro daje radę utrzymać w powietrzu swoją własną kupę złomu, to z pewnością poradzi sobie z waszym statkiem.

Han wyglądał na urażonego.

- Sokół jest najlepszym statkiem w galaktyce. - Wskazał palcem okrągły frachtowiec po drugiej stronie lądowiska.

- To twój statek? - spytał Zak - Myślałem że to jakaś kupa złomu.

- Zak! - upomniała go Tash.

Lecz Han wyraźnie miał wcześniej do czynienia z taką reakcją.

- Coś ci powiem, dzieciaku. Nie odzywaj się przez jakieś pół godziny, jak będę pracował, a pokażę ci parę rzeczy u Sokoła, za które imperialni inżynierowie dali by sobie rękę uciąć.

Gdy poszli do pracy, Tash przechadzała się nerwowo. Nie mogła wyrzucić z głowy obrazu skrzywdzonego, złego Bebo i ciągle słyszała jego głos, jak do niej szeptał: Wszyscy umrzecie!

Luke Skywalker pojawił się obok niej.

- Wciąż cię dręczy to uczucie?

- Tak - odparła, po raz kolejny zdumiona jego spostrzegawczością. - Nie wiem czemu, ale żał mi było Bebo. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czułam, jakby mówił prawdę. Czuję, jakbym powinna była zobaczyć jego historię.

- Miałem na myśli to, co ci powiedziałem. - powiedział poważnie Luke. - Powinnaś ufać swoim uczuciom.

Zamyśliła się przez chwilę.

- Żeby zrobić to, co bym chciała, muszę wejść na HoloNet, a tego nie mogę zrobić, dopóki Lightrunner nie jest znowu sprawny.

- Chcesz użyć komputera na pokładzie Sokoła Millenium? - zaoferował Luke.

Parę minut później, Tash siedziała przy stanowisku komputerowym wewnątrz frachtowca. Obejrzała komputer; Han Solo nie żartował co do modyfikacji. Nawet komputer wyglądał na zmodyfikowany.

- Co to? - spytała, wskazując na małe, czarne pudełko podłączone do terminala komputerowego.

- Nie jestem pewien - powiedział Luke - Ale to chyba detektor sygnału. Powiadamia cię, gdy ktoś chwyta twój sygnał komputerowy.

- Po co to komu?

Luke się uśmiechnął.

- Powiedzmy, że Han nie zawsze pracuje z najbardziej godnymi zaufania osobami.

Tash zostawiła temat. Włączając komputer, wstukała parę szybkich poleceń i zalogowała się na HoloNet. Następnie wpisała:

SZUKAJ: MIZANTROP.

Komputer szybko odpowiedział.

**POSZUKIWANE SŁOWO MIZANTROP POJAWIŁO SIĘ SZEŚĆSET RAZY.
WYŚWIETLIĆ WSZYSTKO?**

Tash jęknęła. To było zdecydowanie za dużo. Musiała zawęzić wyszukiwanie. Wpisała znowu:

SZUKAJ: MIZANTROP I D'VOURAN.

Komputer odpowiedział: ZNALEZIONO DWA PRZYPADKI. WYŚWIETLIĆ?

Pierwszy plik wyglądał na oficjalny Imperialny raport. Tash go wyświetliła. Opisywał on utratę statku towarowego oraz jego poszukiwania. Miała nadzieję znaleźć w raporcie coś, co mogłoby udowodnić historię Beba – że było więcej ocalałych. Lecz traciła nadzieję w miarę czytania.

MIZANTROP ROZBIŁ SIĘ WRAZ ZE WSZYSTKIMI PASAŻERAMI NA POKŁADZIE. TYLKO JEDEN PILOT, KAPITAN KEVREB BEBO, OCALAŁ. BEBO JEST OBECNIE NA WOLNOŚCI, POSZUKIWANY.

Westchnęła.

- Cóż, to chyba tyle, w takim razie. Rzeczywiście oszalał przez poczucie winy.

Drugi plik, co było dziwne, był zakodowany.

- Dziwne. Dlaczego raport z wiadomości byłby zakodowany?

- To Imperialny kod - zauważył Luke - Lepiej się z nim nie baw.

Tash się uśmiechnęła. Zaczęła wystukiwać sygnały, próbując przełamać się przez system zabezpieczeń, który ją powstrzymywał przed odczytaniem imperialnych wiadomości. Lecz zdążyła wpisać tylko kilka poleceń, gdy małe czarne pudełko zapiszczało.

- Co to?! - krzyknęła, prawie że wyskakując z siedzenia.

- Wykrywacz sygnału! Ktoś cię próbuje namierzyć. - odparł Luke.

- Co mam robić? - spytała spanikowana. Alarm stawał się coraz głośniejszy.

- Wyłącz go!

Uderzyła w przycisk wyłączający. Ekran zrobił się czarny, a alarm ucichł. Tash poczuła, jak jej serce obija się o piersi.

- O co w tym chodziło?

- Nie wiem - powiedział Luke- Ale ewidentnie Imperium chce wiedzieć o wszystkich zainteresowanych D'vouranem.

Tash i Luke powrócili do Lightrunera, by znaleźć Chewbacę siedzącego z Zakim, który majsterkował z płaską deską. Miała nieco ponad metr długości i pół metra szerokości i była pełna różnych obwodów.

- Hej, Tash! - odezwał się Zak - Chewbacca mi pomaga zmodyfikować skimboard! Będzie wystarczająco szybki, by dorównać śmigaczowi!

- Mam nadzieję, że Wookiee jest przygotowany, by ci zapłacić za leczenie, gdy sobie złamiesz kark. - powiedział sucho stojący nieopodal Deevee.

Han otarł z rąk olej i zwrócił się do Hoole'a:

- To powinno zadziałać na krótką metę. Masz uszkodzony pionowy stabilizator i będziesz potrzebował przeglądu, ale dasz radę stąd odlecieć.

Hoole mu podziękował, a Han razem z resztą swojej drużyny zaczął się zbierać.

Tash zwróciła się bardzo nieśmiało do Luke'a Skywalkerera.

- Nie wiedziałam, że tak szybko odlatujecie. Chciałam cię spytać o... o twój miecz świetlny. I... - obniżyła głos do poziomu zawstydzonego szeptu. - o Moc.

Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Nie wiem, ile mogę ci powiedzieć, Tash. Lecz być może jeszcze kiedyś się spotkamy i wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Gdy Luke podał rękę Tash, dziewczynka poczuła dreszcz. Dreszcz, który został jeszcze na długo po tym, jak Sokół Millennium wystrzelił do góry.

Robiło się ciemno, gdy opuszczali kosmoport po raz drugi. Idąc tak, jak im powiedziano, doszli do domu Chooda. Enzeen mieszkał w lesie nieopodal osady.

Chood powitał ich ciepło w swoim domu. Był on dość skromny, z trzema albo czterema pokojami połączonymi długim korytarzem. Choć był dobrze zbudowany, Tash była zdziwiona, że, tak jak w przypadku ulic na zewnątrz, zamiast podłóg był kurz.

- Mamy swoje tradycje - wyjaśnił Chood, gdy to zauważyła. - Lubimy mieć kontakt z naszą planetą, która jest naszym domem.

Chood rzeczywiście lubił D'vouran. Przez godzinę, Hoole, Tash i Zak słuchali, jak opowiadał im o planecie, zachwalając jej krajobrazy, bogactwa naturalne, jej potencjał.

- Brzmi - Zak szepnął Tash - jak sprzedawca używanych śmigaczy.

Pod koniec rozmowy Tash zaczęła ziewać. Miała za sobą długi, dziwny dzień – od prawie że rozbicia się przez incydent w kantine po spotkanie z Lukiem Skywalkerem. Była zmęczona. Obok niej, Zak już zasypiał.

Hoole to zauważył.

- Myślę, że to najwyższa pora, by Zak i Tash poszli spać. Oraz czas, bym ja wyruszył.

- Dokąd idziesz? - spytała Tash. Była tak rozespana, że zapomniała o tajemniczości Hoole'a co do jego pracy.

Od razu jej o niej przypomniał.

- To moja sprawa. Wrócę przed rankiem. Przepraszam.

Bez kolejnego słowa, Hoole wyszedł.

- Czy Shi'ido nigdy nie śpią? - Zak ziewnął. - Ciągle gdzieś się spieszy.

- To nie dlatego, że to Shi'ido - odpowiedziała Tash - Po prostu to wujek Hoole, który ma do siebie więcej, niż widać gołym okiem. - I mam zamiar się dowiedzieć, co to takiego, dodała sobie w myślach.

Tash i Zak dzielili duży pokój, w którym dwie małe, lecz wygodne maty do spania leżały na ziemi. Gdy byli już sami, Tash zwróciła się do swojego brata.

- Nie mogę się otrząsnąć z tego uczucia, Zak. Cokolwiek robię, mam wrażenie, jakby ktoś mnie obserwował. - Powiedziała mu o zakodowanym imperialnym pliku o D'vouranie i o alarmie. - Myślisz, że imperialni wiedzą o tej planecie coś, czego my nie wiemy?

Zak prawie że spał.

- Tash, jestem równie wściekły na Imperium co ty. Ale co oni by mogli wiedzieć o tej planecie, co by było tak złe? Nie uważasz, że pociągasz te wszystkie sprawy z Jedi trochę za daleko? Tak jakbyś szukała czegoś, co nie pasuje. To miejsce jest świetne!

- Uważasz, że wycelowane w ciebie blastery są świetne?

- Taa - odpowiedział śpiąco.

To dlatego, że nic nie wiesz, chciała mu powiedzieć. Lecz nie powiedziała.

- Żałuję, że nie mam twojej pewności siebie. - powiedziała mu za to.

- Po prostu wyluzuj - ziewnął. - A teraz wybac. Chcę iść jutro na skimboarda i muszę się wyspać.

Tash dłużej leżała na jawie. Lecz w końcu i ona zasnęła.

W środku nocy zbudził ją dźwięk. Z początku myślała, że to chrapiący Zak, lecz jej brat spał cicho po drugiej stronie pokoju. Widziała po ciemku, jak jego klatka piersiowa podnosi się i opada, gdy oddychał.

Przysłuchiwała się uważnie.

Siorb-siorb.

Słuchała uważniej.

Siorb-siorb.

- Zak? - szepnęła. - Słyszysz to? - brak odpowiedzi. Jej brat spał jak kamień.

Tash leżała w łóżku, zastanawiając się, co robić. Dźwięk się zaczynał, ucichał, po czym znów się wznawiał kilkakrotnie. Co to mogło być?

W końcu nie mogła już tego dłużej znieść. Wstała i podeszła do drzwi ich pokoju. Dźwięk dochodził ze środka domu.

Cichcem otworzyła drzwi i na palcach wyszła na korytarz.

Siorb-siorb. Siorb-siorb.

Salon. Stamtąd dochodził dźwięk. Tash skradała się do przodu, dociskając się do ściany. Serce jej łomotało, lecz coś ją pchało do przodu. Nie była to do końca ciekawość. Bardziej coś w stylu okropnego uczucia, że niewiedza, czym to coś było była gorsza, niż wiedza. Serce jej biło tak głośno, że była pewna, że ktoś je mógł słyszeć.

Siorb.

Dźwięk ucichł. Usłyszała, jak coś się porusza w salonie. Tash się zebrała, po czym ostrożnie wyjrzała zza rogu. Pokój był pusty.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Tash udławiła się wrzaskiem, który próbował wydostać się z jej gardła.

Chood stał za nią. Nawet po ciemku wiedziała, że wciąż się uśmiechał.

- Yy... miałam wrażenie, że coś słyszałam - szepnęła.

- Dzikie zwierzęta, z pewnością - wyjaśnił Enzeen - Jesteśmy na skraju lasu. Jestem pewien, że to nic takiego. Chciałabyś, żebym sprawdził.

Zawahała się. Czy to była jej wyobraźnia, czy Chood się na nią gapił w ciemności? W mroku jego uśmiech wyglądał bardziej złowieszczo.

- Nie fatyguj się - odparła.

- To żaden problem. I tak wychodziłem.

Tash nie mogła się powstrzymać przed pytaniem:

- O tej porze?

Wydawało jej się, że widziała, jak uśmiech Chooda się poszerza.

- Obawiam się, że tak. To sprawa, która nie poczeka.

- Ok. Cóż... dzięki.

Chood się uklonił.

- Naszym zadaniem jest służyć. Dobrej nocy.

- Dobranoc - odpowiedziała, wymijając go i wracając korytarzem. Czowała jego wzrok na plecach. Następnie usłyszała dźwięk zamykanych drzwi, gdy wyszedł z domu.

- Uspokój się - powiedziała sobie. - Pewnie też byś się na kogoś gapiła, gdybyś znalazła go w środku nocy łażącego po twoim domu. - Dzikie zwierzęta.

Cóż, brzmiało to jak dość sensowne wytłumaczenie.

Twoje uczucia wymykają się spod kontroli, Tash Arranda, pomyślała sobie. Może Zak ma rację. Może szukasz problemów. Jeśli nie będziesz uważać, skończysz tak jak Bebo.

Gdy dotarła do drzwi pokoju gościnnego, postanowiła, by nie dochodzić do pochopnych wniosków. Może Zak miał rację. Miała zbytnią obsesję na punkcie Mocy. Otworzyła drzwi sypialni.

Ktoś stał pochylony nad łóżkiem Zaka.

ROZDZIAŁ 8

Ktoś przyłożył dłoń do ust Tash, uciszając jej krzyk. Ugryzła więc rękę.

- Arrghh! - ktoś zawył z bólu, puszczając Tash. Krzyk obudził jej brata, który zerwał się nagle ze snu.

- C-co się dzieje?

- Zak, uważaj! - krzyknęła Tash. Cienista postać sięgała po niego. Wciąż pół-śpiąc, Zak wyskoczył z łóżka jak sprężyna, stając obok ciemnej osoby.

- Biegnij! - wrzasnęła Tash.

Pomimo mroku, Tash poznała dwójkę wielkich, kwadratowych intruzów: Gankowie. Ten, którego ugryzła, wciąż doglądał swojej dłoni. Dla pewności nadepnęła mu na stopę, po czym wyskoczyła przez drzwi, a Zak tuż za nią.

- Pomocy! Pomocy! - zawołała. Lecz nie było nikogo, kto by ją mógł usłyszeć. Wujek Hoole poszedł się zająć swoją tajemniczą pracą. Chood doglądał swoich spraw. Byli sami w domu.

- Musimy się stąd wydostać! - powiedziała Zakowi, który dopiero co się obudził. Wyszedł za nią przez drzwi i na zewnątrz.

Nocne powietrze D'vourana szybko postawiło Zaka na nogi.

- Co to było? - spytał, doganiając siostrę.

- Smada! Jego zbiry! - to jedyne, co mu zdołała odpowiedzieć, biegnąc w stronę centrum miasteczka.

To było jedyne, co Zak musiał wiedzieć. Wyprzedził swoją siostrę. Nie oglądał się do tyłu.

Tash obejrzała się, lecz wiedziała, co zobaczy. Para Ganków ich goniła. Jak na wielkie, ciężkie bestie, biegali dość szybko. Choć Zak i Tash już dotarli do głównej ulicy małej wioski, dwójka Ganków coraz bardziej się do nich zbliżała.

- Pomocy! Pomocy! - krzyknęła. Lecz było późno w nocy, a ulice były puste. W paru domach pozapalały się światła, lecz Tash bała się zatrzymać. Słyszała za sobą ciężkie kroki zbliżających się Ganków.

Próbowała ich zgubić, skręcając gwałtownie w prawo, w boczną uliczkę. Zak biegł za nią.

Prosto w ślepią uliczkę.

Przed nimi pojawiła się kantyna Lepiej Nie Wchodzić. Nie było czasu na oglądanie się za siebie. Nie tracąc czasu, Tash podbiegła do drzwi i wcisnęła przycisk otwierający je.

Nic. Były zamknięte.

- Otwórzcie! - krzyknęła, waląc pięściami w drzwi.

- Otwierać! Pomóżcie nam! - dodał Zak.

Tash usłyszała nagle za sobą dwa ryki. Poczula ciarki na plecach. Gankowie muszą być wściekli! Rozerwią ją na strzępy, jak ją złapią. Krzyki się nagle urwały, lecz Tash tak mocno waliła w drzwi, że nawet nie zauważyła.

- Otwórzcie! Proszę! - błagała. Spodziewała się lada chwila poczuć na gardle ciężką rękę Ganka albo uderzenie pocisku blasterowego w plecy. - Pomocy!

W końcu drzwi się otwarły. Wyszło z nich paru zaskoczonych osadników, rozespanych i w piżamach.

- Co tu się wyprawia? - spytał jeden z nich.
- Oni nas gonią! Pomocy! - błagała Tash.
- Kto was goni? - spytał ostro jeden z osadników.
- Oni! - powiedziała Tash, wskazując w dół ulicy.

Lecz nikogo tam nie było.

ROZDZIAŁ 9

Zak i Tash siedzieli w salonie w domu Chooda, w tym samym miejscu, w którym siedzieli już od prawie godziny. Wciąż był środek nocy i Zak co chwilę zasypiał. Nawet Tash ziewała – adrenalina, która przez nią przeszła, już dawno minęła.

Hoole wrócił – skąd? Tash się zastanawiała - by znaleźć wioskę w chaosie. Całe miasto zostało obudzone przez krzyki Tash i Zaka po to, by usłyszeć historię, którą orzekli równie wiarygodną co opowieści Bebo.

Wujek Hoole właśnie skończył przeproszać większość osadników oraz wszystkich Enzeenów. W końcu usiadł naprzeciwko Zaka i Tash. Na twarzy miał grymas zmęczenia i gniewu.

- Sprawiliście, że staliśmy się najmniej popularnymi osobami w mieście.

Tash oczywiście opowiedziała mu swoją historię. Byli Gankowie. Byli ścigani. Podbiegła do kantyny Lepiej Nie Wchodzić i zaczęła walić w drzwi. W następnej chwili Ganków już nie było.

- Nie było nigdy żadnych Ganków - powiedział Hoole - Coś ci się śniło.

- Oni tam byli! - upierała się Tash - Musieli przestać nas gonić, gdy zaczęliśmy krzyczeć.

Hoole potrząsnął głową.

- Sprawdziłem. Nie było nawet śladów stóp. To była ślepa uliczka. Dokąd by się mieli udać?

- Nie wiem!

- Tash. - Hoole popatrzył na nią poważnie. - Osadnicy powiedzieli, że widzieli tylko ciebie i Zaka wrzeszczących, jakby rozpadała się cała planeta. Nikt inny nie widział Ganków.

- Zak, ty widziałeś, co nie, Zak? - popatrzyła na brata z nadzieją.

- Yyy.. tak. Chyba.

- Chyba? - spytał wujek Hoole.

Zak spuścił wzrok. Chciał pomóc swojej siostrze, ale...

- Cóż, trochę jakby spałem. Słyszałem, jak Tash woła „Biegnij!”, więc pobiegłem. To znaczy, chyba coś widziałem. Cienie. Było ciemno. Byłem rozespany. Ale tam coś chyba było.

Hoole potrząsnął głową.

- Chyba? Zak, spójrz na to z tej strony. Powiedzmy, że opowieść Tash to hipernapęd statku. Powiedzmy też, że to, co ty widziałeś, to obwód motywatora. Jeśli silnik by działał, podłączyłbyś obwód i wskoczył w nadprzestrzeń. Ale jeśli by nie działał, w chwili, gdy podłączysz obwód, cały statek eksploduje. Dlatego musisz być pewien. - Po czym spytał: - A więc, czy podłączysz ten obwód?

Zak się zawahał, lecz tylko przez poczucie winy. Szukał czegoś, co by mógł powiedzieć.

- Przepraszam, Tash. Ja po prostu... byłem zbyt rozespany. Wcale nic nie widziałem.

- Zak! - Tash prawie że płakała.

- Proszę cię Tash, nie płacz - powiedział Hoole - Nikt cię o nic nie obwinia. Po prostu miałaś koszmar.

- To była prawda. Ugryzłam mu palec!

- Śniło ci się, że go ugryzłaś. Wydawało ci się to tak prawdziwe, że zaczęłaś iść – a raczej biec – we śnie. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie - nalegała stanowczo. - Ja byłam na jawie. Widziałam ich. Dlaczego nie możemy odnaleźć tego Hutta i kazać mu się przyznać do tego, że wysłał za nami tych zbirów! Następnie go spytać, gdzie teraz są. Powie ci, że zniknęli.

Hoole poważnie się zastanowił nad tą opcją.

- To by było trudne. Smada ma małą fortecę w lesie. Jeśli byśmy tam poszli, podejrzewam, że byśmy już nie wrócili. A wątpię, żeby Smada się przyznał do porwania tylko dlatego, że go o to spytamy.

Hoole westchnął.

- Prawdę powiedziawszy, to sam się obwiniam. Zdaję sobie sprawę, jak ciężko musi wam być, odkąd... od tragedii. Myślałem, że to zainteresowanie Jedi sprawiłoby, że przestaniesz tyle o tym myśleć. Ale teraz twoja wyobraźnia hula z tą obsesją na ich punkcie. To musi się skończyć. Najpierw zepsułaś nawikomputer Lightrunera. Potem Chood mi mówi, że się włóczyłaś w środku nocy, a teraz te sny. - Shi'ido położył jedną dłoń na ramieniu Tash. Gest był niezadarny, ale wiedziała, że miał dobre intencje. - Tash, musisz po prostu zrozumieć, że nie wszystko w galaktyce jest wielką tajemnicą. Niektóre rzeczy są takie, jakie się wydają. Nie musisz myśleć o Mocy za każdym razem, gdy zawieje wiatr. Rozumiesz?

Tash popatrzyła na sufit z powrotem na podłogę. Czy rozumiała? Nie była pewna. Całe życie było taką zagadką! Czy powinna ufać swoim uczuciom, czy rozumowi? Uczucia podpowiadały jej, że była w niebezpieczeństwie, że wszyscy byli w niebezpieczeństwie. Lecz rozum jej mówił, że nie było niczego, czego należałoby się bać, oprócz opowieści jakiegoś świra i jej własnej wyobraźni. Pomijając Smadę Hutta, D'vouran zdawał się być spokojną planetą.

Może za bardzo szukała wszędzie tajemnic. Odkąd jej rodzice zmarli, czuła złość. Nie wiedziała, w stosunku do kogo, ale wiedziała, że uczucie to było prawdziwe. Może to uczucie żalu było tylko wymówką, by móc być na coś złym.

Jej wujek czekał, aż coś powie. W końcu mu odrzekła:

- Dobrze, wujku Hoole. Może masz rację. Może nikt nie zniknął. Ale obiecaj mi jedno. Obiecaj mi, że ty i Zak nie znikniecie.

Hoole prawie że się uśmiechnął.

- Obiecuję.

Następnego ranka słońce wcześniej pojawiło się na horyzoncie, a Zak Arranda wstał razem z nim. Nie mógł spać. Po drugiej stronie sypialni, Tash w końcu zasnęła. Po rozmowie z Hoolem wrócili do łóżek. Nawet Hoole się wtedy położył na małym materacu w salonie Chooda. Lecz w ich pokoju Zak słyszał, jak jego siostra leżała, nie mogąc zasnąć, kręcąc się i obracając z boku na bok.

Zak zastanawiał się, czy zrobił dobrze. Czy powiedział prawdę? Po prostu nie był pewien. A jeśli było coś, czego Zak nie cierpiał, była to niepewność. Dlatego właśnie lubił silniki, obwody i fizykę. Gdy się budowało silnik albo wyznaczało kurs nadprzestrzenny, albo się miało rację, albo się myliło. Nie było nic pomiędzy. Nie miało znaczenia, co się czuło. Po prostu sprawdzało się rachunki i miało się odpowiedź. Jeśli się myliło, to się próbowało jeszcze raz.

Całe to mówienie o cieniach, jawie i snach sprawiało, że się denerwował. Musiał coś zrobić. Nie był taki jak Tash, która mogła tylko siedzieć i myśleć nad problemem w nieskończoność, dopóki nie wpadła na to, jak go rozwiązać. Zak najlepiej myślał, gdy działał.

Dlatego też następnego dnia opuścił dom Chooda wcześniej z rana i wyszedł na opustoszałe ulice wioski, niosąc w rękach skimboard.

Poranne powietrze było ciepłe, świeże, o zapachu lasu otaczającego wioskę. Zak zrozumiał, dlaczego ludzie zaakceptowali zaproszenie Enzeenów, by osiedlić się na D'vouranie. Był piękny.

Zak wyjął skimboard z walizki do jej transportu. Zanim włączył jej mikrosilniki, włożył kask, ochraniacze na łokcie oraz kolana. W końcu, tak jak mówił Deevee dziesiątki razy, był śmiałkiem, ale nie głupcem. Gdy był już zabezpieczony, sprawdził paski przymocowujące na górze deski, by się upewnić, że go utrzymają.

Skimboard posiadał wiele zaawansowanych technologicznie części, lecz najważniejszymi były paski przymocowujące. Jeźdźcy skimboardów na rodzinnej planecie Zaka, Alderaanie, byli zwani brzytwami dzięki sztuczkom, jakie wykonywali, „przecinając” powietrze, wykonując fikołki i szczególnie jeżdżąc pionowo. To oznaczało używanie wbudowanego w deskę systemu antykolizyjnego, by lecieć z maksymalną prędkością na ścianę, po czym skręcić gwałtownie w górę. Jeździec byłby utrzymany na desce tylko dzięki paskom, które trzymały mu stopy na desce. Większość brzytw zdołała zaliczyć dwu- albo trzymetrowy pionowy lot, zanim wygrała grawitacja i ściągnęła deskę z powrotem do pozycji poziomej. Rekord wszech czasów na pionowy lot to było pięć metrów.

Zak miał zamiar go pobić.

Położył deskę na ziemi i wkroczył na nią. Kontrole były koło tyłu. Zak ugiął kolana, by zachować równowagę, następnie, wyćwiczonym ruchem palca u stopy, aktywował repulsory.

Żołądek mu się zapadł, gdy deska wyskoczyła gwałtownie w górę. Zak prawie że stracił równowagę, a deska się pod nim zatrzęsała, lecz szybko się wyprostował.

Modyfikacje Chewbacca się dobrze sprawdziły. Może za dobrze. Skimboard był zaprojektowany, by unosić się na długość ramienia nad ziemią. Zak chciał móc lecieć nieco wyżej, lecz teraz unosił się wyżej, niż nawet Wookiee byłby w stanie osiągnąć. Upadek z takiej wysokości nie byłby zbyt przyjemny. Lecz Zak nie miał zamiaru pozwolić, by to go zatrzymało. Miał rekord do pobicia.

Przyspieszając do przodu, Zak przeleciał przez powietrze, dopóki nie dotarł do kantyny Lepiej Nie Wchodzić. Miała dwa piętra wysokości. Nawet biorąc pod uwagę dodatkową wysokość skimboardu Zaka, dach był co najmniej sześć metrów nad jego głową. Z dobrym rozbiegiem powinien dać radę wspiąć się po ścianie i wlecieć na dach.

Przyspieszając, Zak odchylił się, by zawrócić, po czym znów skręcił o sto osiemdziesiąt stopni i zawisł w powietrzu. Miał przed sobą dwudziestometrowy pas prowadzący prosto na ścianę hotelu. To powinno wystarczyć.

Biorąc głęboki oddech, przyspieszył maksymalnie. Zmodyfikowany skimboard gwałtownie nabrał prędkości.

Pod kaskiem słyszał świst wiatru w uszach i musiał zmrużyć oczy, żeby mu nie łzawiły. Biała ściana gwałtownie się przybliżała.

Piętnaście metrów.

Niektóre brzytwy miały reputację leniwych, nieambitnych delikwentów. W przypadku Zaka nie było to prawdą. Trzeba było być odważnym i bardzo ambitnym, by spróbować pionowego lotu. Nawet z systemem antykolizyjnym potrzeba było dużej odwagi, by zachować spokój, gdy się pędziło z dużą prędkością na ścianę.

Dziesięć metrów.

Zak myślał o swoim następnym ruchu. Prawdziwą sztuczką nie było uniesienie dziobu – skimboard sam wykonywał większość pracy w tym zakresie. Najgorsza była chwila po tym. Gdy deska się przechyliła, dziób miała skierowany prosto do góry. To oznaczało, że dolne repulsory odpychały od ściany. Chyba, że jeździec umiał idealnie utrzymać równowagę i wyłączyć dolne repulsory w idealnym momencie, deska odbiła by się od ściany, robiąc fikołka i ciskając jeźdźca na ziemię.

Pięć metrów.

Zak się przygotował.

Jeden metr.

Teraz!

Zak się odchylił w chwili, gdy system antykolizyjny wkroczył do akcji. Dziób skimboardu się uniosł i Zak się przechylił. Nagle patrzył na niebo. Używając kontroli przy stopach, przesłał moc z dolnych repulsorów do tylnego silnika, usiłując nabrać wysokości.

Lecz zapomniał o świeżo zmodyfikowanym silniku skimboarda. Ten sam napęd, który odepchnął go od ziemi, teraz odpychał go od ściany. Zak wraz z deską przechylił się do tyłu.

Nie patrzył już na niebo, lecz na miasteczko – które było do góry nogami. A raczej, on był. Po chwili grawitacja, wspomagana przez odwrócone repulsory, ściągnęła go na ziemię z hukiem.

Bardzo się cieszył, że miał na sobie kask.

Pomimo tego, czuł się, jakby jego mózg eksplodował wewnątrz czaszki. Leżał przez chwilę na plecach, gapiąc się na niebo. Miał wrażenie, że całe jego ciało nagle stało się jednym wielkim sińcem i doszedł do wniosku, że nie mógłby się gorzej czuć.

Dopóki widoku nieba nie zasłoniło mu ogromne cielsko Smady Hutta.

- Jak wygodnie - powiedział Smada - Właśnie chcieliśmy cię zabić.

ROZDZIAŁ 10

Zak wstał. Był już jednakże otoczony przez pięciu Ganków. Smada Hutt siedział na swojej platformie pośród fałd tłuszczu. Uśmiechając się złowieszczo, wsadził jedną rękę do dużej szklanej miski pełnej żywych węgorzy. Włożył sobie jednego z nich do ust i oblizwał wargi.

- Pyszne. No, to na czym skończyłem? - powiedział Hutt - A, tak. Chłopcy.

Gankowie unieśli broń.

- Czekaj! - krzyknął Zak - Dlaczego to robisz?

- Miej pretensje do swojego wujka - powiedział kryminalista - Nie chce współpracować, więc postanowiłem go przekonać, by dla mnie pracował. Mam zamiar porwać twoją siostrę, a ciebie zabić, jako ostrzeżenie, że mówię poważnie.

- Ludzie się niedługo obudzą, szefie - warknął jeden z Ganków - Dużo świadków.

- Masz rację. Zabijcie chłopca i zostawcie ciało na progu. Następnie znajdziemy dziewczynkę.

- Skończeni! - ktoś krzyknął tak głośno, że nawet Gankowie odskoczyli do tyłu.

- Skończeni!

Zza rogu wyłonił się Bebo, krzątając się po mieście. Zataczał się w prawo i lewo, wrzeszcząc tak głośno jak potrafił:

- Wszyscy jesteśmy skończeni!

- Ten świr mnie już nie bawi - orzekł Smada - Zabijcie go.

Jeden z Ganków wycelował blaster w Bebo i pociągnął za spust. Pocisk przeleciał przez powietrze w stronę Bebo, lecz go nie trafił. Zak zamrugał. Musiał się uderzyć w głowę mocniej niż myślał. Mógłby przysiąc, że wiązka energii skręciła w bok w ostatniej chwili.

- Nie trafiłeś! - zaśmiał się inny Gank. - Ale ja trafię.

Oddał strzał. Następnie drugi. Żaden nie trafił w Bebo, tylko w elewację budynku obok niego, krusząc ją. Bebo, zszokowany, lecz cały, pobiegł szukać schronienia.

Wszyscy Gankowie stracili cierpliwość. Pięć blasterów strzeliło jednocześnie, a powietrze wypełniło się świstami pocisków energii. Bebo zgubił się za chmurą pyłu i dymu.

Gdy się znów uspokoiło, Bebo leżał na ziemi, skulony. Lecz był nietknięty.

- Ty przeklęty stary dziadzie! - ryknął Smada - Sam cię zabiję!

- Nikogo nie zabijesz, Smada. - głos należał do Hoole'a.

Smada oraz jego ochroniarze się obrócili. Hoole stał za nimi na czele dwóch tuzinów wieśniaków, złych z powodu braku snu oraz uzbrojonych w blastery. Tash oraz Deevee stali za Shi'ido'em.

Smada się zaśmiał. Wsadził grubą rękę do miski węgorki i zjadł kolejnego.

- Hoole, jesteś głupcem. Myślisz, że paru osadników może się mierzyć z moimi Gankami!

Głos Hoole'a był jak stal.

- Aż tak chcesz tego człowieka zabić, że jesteś gotowy się przekonać?

- Jestem Smada Hutt! Zabijam kogo chcę, kiedy chcę.

- Nie dzisiaj.

Hoole czekał.

Niskie, wściekłe burczenie wydobyło się z głębi żołądka Smady. Był Huttem. To znaczyło, że nie bał się paru wieśniaków. Lecz znaczyło to również, że był na tyle mądry, że wiedział, kiedy musi ustąpić. Wygranie tego pojedynku nie było warte zaryzykowania własnej cennej skóry.

- To już drugi raz mnie pokonujesz, Hoole - powiedział Smada - Lecz w końcu będziesz dla mnie pracował. - Hutt popatrzył groźnie na Bebo. - A ty będziesz martwy, zanim kolejny dzień się skończy.

Jeden z Ganków wskoczył na platformę i pokierował ją w dół ulicy, a w ślad za nią poszła reszta zbirów. Nikt się nie ważył ich zatrzymać. Dopiero, gdy kryminalista był poza zasięgiem wzroku, osadnicy, oraz Hoole się odprężyli.

- Zak, wszystko w porządku? - spytała Tash.

- Chyba - odpowiedział jej brat - Jemu to zawdzięczam. - wskazał na Bebo.

- Błagam - Bebo wrzasnął do tłumu. - Musicie mnie posłuchać. Znalazłem coś!

Lecz osadnikom było dość ekscytacji jak na jeden ranek. Po podziękowaniach ze strony Hoole'a, odwrócili się i wrócili do swoich domów. - Wszyscy jesteście skończeni! - krzyknął za nimi Bebo.

- Co się stało? - Tash spytała Zaka.

Zak wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale ocaliło mi to życie. To było niesamowite. Ci Gankowie ciągle w niego strzelali, ale żaden strzał nie trafiał, a on po prostu tam stał. Jest dość odważny.

- Albo zbyt głupi - dodał Deevee.

- Tash, chyba mogłaś mieć rację. - przyznał po chwili Zak. - Przynajmniej jeśli chodzi o ludzi Smady śledzących nas. Dziś rano chciał mnie zabić.

- Mówiłam ci! - prawie że krzyknęła.

- Ale nie wiem nic o znikających Gankach - dodał.

- Znikających! - Bebo uczeplił się słowa. Tak, tak! Znikających!

Hoole im przeszkodził.

- Zak, Tash, proszę. Jest za wcześnie na to.

Lecz Tash w końcu znalazła kogoś, kto jej wierzył, nawet, jeśli był to świr.

- Wujku Hoole, chciałabym zostać i chwilę z nim porozmawiać.

Hoole się rozejrzał. Hutta nie było, lecz kiedy wróci?

- Myślę, że nie byłoby to zbyt bezpieczne, Tash.

- To możesz ze mną zostać. Albo Zak.

Shi'ido potrząsnął głową.

- Muszę iść - powiedział.

- Gdzie?

- Mam więcej spraw, którymi się muszę zająć - odparł tajemniczo Shi'ido. Tash znów przypomniała sobie, co Smada jej powiedział dzień wcześniej w kantynie. Co dokładnie robił wujek Hoole?

- A ja nie miałem zbyt wiele szans, by poćwiczyć jazdę na skimboardzie - wyjaśnił jej brat.

- Tylko na parę minut, wujku Hoole. Proszę! - błagała.

Hoole odpuścił.

- Dobrze. Deevee z tobą zostanie. Spotkamy się z powrotem w domu Chooda. Nie odchodź zbyt daleko.

- Cudownie - mruknęła Tash, gdy jej brat i wujek odeszli. - Najbardziej ponury droid w galaktyce będzie świetnym towarzyszem.

- Nie powiem, że się cieszę bardziej niż ty - odparł Deevee - Wolałbym liczyć pchły piaskowe na nerfie. Choć pewnie mógłbym znaleźć ich równie dużo na twoim nowym koledze tutaj.

Bebo przykucnął w pył. Kołysał się w przód i w tył, mamrocząc do siebie. Gdy Tash znów do niego podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu, nie odpowiedział.

- Bebo? To twoje imię, prawda? - brak reakcji. - Wszystko w porządku? - nic. - Wiesz coś o tych zniknięciach?

- Zniknięciach! - to słowo sprawiło, że Bebo ożył. - Tak, zniknięcia! Ty wiesz.

- Co mi możesz powiedzieć?

- Pokażę ci, co znalazłem! - Wstał na nogi i złapał Tash za rękę. - Chodź! Szybko!

Odbiegł, ciągnąc Tash za sobą.

- To zaczyna wyglądać na przygodę. - wymamrotał Deevee, pędząc za nimi. - Nienawidzę przygód.

Zak doszedł do wniosku, że jego skimboard był nieco za dobry. Wrócił do kosmoportu, gdzie mógł się posłużyć narzędziami z Lightrunera. Obserwował Chewbaccę przy pracy i był pewien, że wiedział, co robi.

Używając jednej z części podwozia Lightrunera jako siedzenia, otworzył jeden z paneli w skimboardzie. Miał zamiar obniżyć moc tylko tyle, żeby wciąż mieć potężny pojazd, ale z nieco mniejszym pułapem wysokościowym.

Właśnie miał zamiar dokonać poprawki, gdy nad nim pojawił się cień.

Chwilę później Zaka już nie było.

Bebo poprowadził Tash z dala od miasta, do lasu. Był to ciemny las, z grubymi drzewami rosnącymi bardzo blisko siebie. Pnie miały nierówne, z dużymi korzeniami wystającymi z ziemi. Przypominały Tash macki.

- Yy, czy my naprawdę tutaj powinniśmy być? - spytała. Obejrzała się za siebie, lecz Deevee został daleko w tyle.

Bebo nie odpowiadał. Zamiast tego prowadził ją coraz głębiej w las, dopóki nie doszli do spodu ogromnego drzewa. Gigantyczne korzenie pięły się tak wysoko, jak głowa Tash, a gałęzie były tak grube, że nie widziała słońca. Pod drzewem było prawie tak ciemno jak w nocy. W cieniu jednego z wielkich korzeni, Tash zauważyła otwór w ziemi.

- Tam, na dole - powiedział Bebo, wskazując na dziurę. - No dalej.

- Tam? - spytała. - Jesteś pewien, że jest bezpiecznie?

- Bezpiecznie? Bezpiecznie! He, he, he! - Bebo się zaśmiał. - Jeśli chciałaś być bezpieczna, to nie powinnaś była przylatywać na D'vouran!

Po czym wepchnął ją do dziury.

ROZDZIAŁ 11

Tash zaczęła krzyczeć, lecz spadek był tak niewielki, że wyszło jej marne „A!”, gdy wylądowała na czymś równie miękkim, co duża poduszka. Gdziekolwiek się znajdowała, było tam totalnie ciemno.

Tash miała wystarczająco rozumu, by zejść z drogi tuż przed tym, jak usłyszała, że Bebo łąduje obok niej, wciąż mamrocząc coś do siebie.

- Co robisz?! Dlaczego mnie popchnąłeś? - krzyknęła gniewnie.

- Przepraszam, przepraszam. Musimy się spieszyć. Nie ma czasu do stracenia.

Usłyszała, jak Bebo odchodzi w ciemność.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! Gdzie jesteś?

Ale nie odszedł daleko. Tash usłyszała zgrzyt dźwigni, po czym pokój wypełnił się światłem.

Stała pośrodku podziemnego laboratorium. A raczej czegoś, co niegdyś było podziemnym laboratorium. Probówki i zlewki leżały porozrzucane na stołach i wszędzie było rozbite szkło. Było też dużo urządzeń komputerowych, lecz większość była zepsuta lub rozebrana.

W jednym z kątów leżała brudna mata do spania, a wokół niej zgromadzone były kawałki złomu i śmieci. Na małej półce nieopodal Tash dostrzegła parę holograficznych zdjęć. Wszystkie przedstawiały tą samą atrakcyjną kobietę. Na ostatnim zdjęciu miała ona na sobie ubiór survivalowy i wyglądała, jakby była w dżicy przez parę miesięcy. W tle Tash rozpoznała drzewa D'vourana.

- Lonni - powiedział Bebo.

- To twoja przyjaciółka Lonni? - spytała Tash - A więc istnieje.

- Istniała. Istniała - sprostował Bebo - Zniknęła. Nie ma jej. - wydobył z siebie przewlekłe, smutne westchnięcie. - Chodź ze mną.

Bebo poprowadził Tash w dół klatką schodową prowadzącą jeszcze głębiej pod ziemię.

- Znaleźliśmy laboratorium niedawno po katastrofie. Imperialni po mnie przylecieli. Chcieli mnie zaarrestować.

- Obwiniali cię o spowodowanie katastrofy - powiedziała Tash - Przeczytałam w HoloNecie.

- Obwiniali mnie, ale to nie była moja wina. D'vourana nie było na mapach! To nie była moja wina!

- Wierzę ci - wyznała Tash, choć tak naprawdę sama nie wiedziała, w co wierzy.

W całej tej ekscytacji Tash zdawała się otrząsnąć z uczucia bycia obserwowaną. Choć teraz, w miarę schodzenia coraz niżej pod powierzchnię D'vourana, uczucie powróciło ze zdwojoną siłą. Cokolwiek to było, zbliżała się do jego źródła.

U dołu schodów rozciągała się przestronna podziemna sala, wystarczająco duża, by pomieścić tuzin gwiazdnych frachtowców. Stalowe ściany pokryte były wszelakim sprzętem naukowo-badawczym, a w środku pokoju znajdowała się duża dziura. Musiała mieć co najmniej dwadzieścia metrów średnicy. Prowadziła w dół, jeszcze głębiej do środka planety... tak daleko, że Tash nie widziała dna. Poczowała, jak stają włoski na jej karku.

Cokolwiek się tam znajdowało, było to zło w czystej postaci.

- Co to za miejsce? - szepnęła.

Bebo również zaczął szeptać.

- Z początku tylko znaleźliśmy górną komnatę. Nie odkryłem tych schodów do bardzo niedawna. To miejsce musiało tu być, zanim tu przybyliśmy.

Do boku jaskini przymocowana była wciągarka i dźwig. Ewidentnie kiedyś rzeczy – a może nawet ludzie – były spuszczone do jaskini przez tego, kto prowadził laboratorium. Tash nie wyobrażała sobie, kto miałby na tyle odwagi, by tam zejść. Zajrzała nad brzegiem dziury i się wzdygnęła. Nie było tam niczego oprócz uczucia obezwładniającego przerażenia tak silnego, że sprawiało, że kręciło jej się w głowie. Jednakże, jednocześnie, wyzwalało to w niej też coś innego, potężną i uspokajającą siłę, która zdawała się walczyć z jej strachem i dodawać jej siły. Lecz uczucie terroru stawało się coraz większe. Cokolwiek, co sprawiało, że ludzie znikali, zaczęło się tutaj. Była tego pewna.

- Może Enzeenowie ją wybudowali - zasugerowała.

- Może. Ale co to jest? - Bebo wskazał na oznaczenia na ścianie. Tash zaparło dech w piersiach.

W ścianie wyryte było insygnium Imperium, stare i zniszczone, lecz wyraźne.

Wszyscy w galaktyce kojarzyli ten symbol. Wyglądał jak koło w przypominającej koło gwiazdzie wewnątrz czarnego kółka. Lecz wszystko w nim było sztywne i mechaniczne, jakby stwierdzając, że nawet gwiazdy były posłuszne Imperatorowi.

Tash nagle się wyprostowała, słysząc ryk. Serce jej zamarło. Odeszła pośpiesznie od brzegu jaskini, myśląc, że cokolwiek się tam znajdowało, wychodziło właśnie do góry. Bebo zapiszczał i się ukrył, zatykając uszy, gdy kolejny ryk rozbrzmiał w podziemnym laboratorium. Tash rozejrzała się pośpiesznie, szukając źródła okropnego dźwięku.

I zobaczyła Deevee stojącego u dołu schodów.

- Deevee! - krzyknęła. - Czy ty to zrobiłeś?

Droid wszedł pomiędzy Tash i Bebo.

- Nie martw się, Tash. Jestem w pełni zdolny cię obronić.

- Obronić? Przed czym?

- Przed tym człowiekiem - powiedział droid. Popatrzył na Bebo, który wciąż leżał na ziemi, trzęsąc się ze strachu, zakrywając uszy rękoma. - Próbował cię porwać. Na szczęście jestem wyposażony w sensory podczerwone, dzięki którym byłem w stanie iść za tobą przez las.

Tash nie mogła powstrzymać uśmiechu. To była strona droida, której nigdy wcześniej nie widziała.

- Ależ D-V9, przybyłeś mi na ratunek!

Droid zdawał się nieco wyprostować.

- To moja praca.

- Myślałam, że nie cierpisz się nami zajmować - powiedziała Tash - Może jednak zdecydowałeś, że nie jesteśmy tacy źli, co?

Deevee parsknął.

- Nonsens. Po prostu staram się dobrze wykonywać swoją pracę, jakakolwiek by ona nie była.

- Spojrzał na Bebo. - A więc nie jesteś w żadnym niebezpieczeństwie?

- Nie z jego strony, w każdym razie. Co to był za odgłos, który wydałeś?

Deevee wskazał na swój głośnik z przodu twarzy.

- Częścią mojej pracy jako jednostki badawczej jest – a raczej, było – nagrywanie dźwięków, jakie słyszę. Kiedyś, na planecie zwanej Tatooine, usłyszałem smoka krayt. Myślałem, że może się przydać.

Tash uspokoiła Bebo, podczas gdy Deevee zbadał pokój.

- Ten sprzęt jest w kiepskim stanie - zauważył. - lecz jest bardzo skomplikowany. Ktokolwiek to zbudował, musiał pracować nad bardzo zaawansowanym eksperymentem.

- Jak sądzisz, co ten ktoś robił? - spytała Tash.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł droid, badając stary terminal komputerowy. - Większości sprzętu nie ma, a pliki komputerowe zostały zniszczone. Lecz było to coś ważnego. Mistrz Hoole będzie chciał o tym wiedzieć w trybie natychmiastowym.

Tash szybko się odwróciła.

- Będzie? Dlaczego? Deevee, co robi wujek Hoole? Dlaczego Smada Hutt powiedział, że nie wiemy wielu rzeczy o naszym wujku?

- Nie mógłbym ci powiedzieć - odpowiedział szybko Deevee.

- Nie mógłbyś? - spytała Tash - Czy tego nie zrobisz?

Bebo się odezwał:

- Nie kłóćcie się! Nie ma czasu. Nie widzicie?

- Nie, nie widzę - odpowiedział Deevee - Nie widzę nic prócz starego zgreda, który stracił rozum i który mieszka w opuszczonym laboratorium. A jeśli ludzie od tak długiego czasu znikali, to dlaczego ty tu wciąż jesteś?

W odpowiedzi Bebo zdjął z szyi mały przedmiot.

- Popatrz! Popatrz! - mówił.

Biorąc przedmiot do rąk, Tash dostrzegła, że było to małe urządzenie otoczone kryształami.

- Co to jest? - spytała.

- To - powiedział Bebo - jest ochrona.

- Przed czym? - spytał Deevee.

- Nie wiem - odparł szalenie - Technologia jest zbyt zaawansowana jak na mnie, ale to chyba tworzy jakiś rodzaj pola ochronnego. Znalazłem go tutaj w laboratorium i zachowałem, by później obejrzeć. Od tego czasu jestem bezpieczny od tego, co sprawia, że ludzie znikają.

Deevee pozostawał sceptyczny.

- Czyli czego?

- Chciałbym wiedzieć! - powiedział Bebo.

- A więc skąd wiesz, że jesteś bezpieczny? - Deevee prychnął.

- Ponieważ wciąż tu jestem - padła odpowiedź. - Nie zniknąłem. A inni tak. Wielu innych.

Wielu innych? Tash się zastanawiała.

- Co masz na myśli? Powiedz mi, co się stało.

Bebo westchnął. W końcu powiedział:

- D'vourana nie było na mapach. Rozbiliśmy się. Dwudziestu z nas przetrwało, w tym ja i Lonni. Wysłaliśmy sygnał SOS i czekaliśmy. Ale nic nam nie było. Enzeenowie przyjęli nas z otwartymi ramionami. Dobrze nas traktowali, wyżywiali nas. - Wzrok mu się począł oddalać. Przypominał sobie coś strasznego. - Następnie ludzie zaczęli znikać. Najpierw tylko jeden czy dwóch. Myśleliśmy, że się zgubili w lesie. Po nich przyszli następni i następni. Następnie grupami po dwóch albo trzech! Po prostu znikali!

Zatrząśł się ze strachu.

- Nie wiedzieliśmy, co robić. Szukaliśmy ich, lecz nie znaleźliśmy ani śladu. Zamiast tego, ostatnia garstka nas znalazła to miejsce. Zostaliśmy tutaj. Dopóki tu byliśmy, nikt nie zniknął. Ale musieliśmy sprawdzać sygnał alarmowy. A każdy, kto wyszedł na zewnątrz, już nigdy nie wracał.

- A co z Enzeenami? - spytała Tash - Czy oni mogli pomóc?

Bebo się wzdrygnął.

- Nie ufam im. - po czym kontynuował: - W końcu zostaliśmy tylko ja i Lonni. Enzeenowie nam powiedzieli, że Imperium zbadało katastrofę i obwiniło o nią mnie. Musiałem się tutaj ukryć. To było jedyne bezpieczne miejsce. Następnie, gdy doszły mnie słuchy, że osadnicy przybywali na D'vourana, musiałem ich ostrzec. Musiałem im powiedzieć o zniknięciach!

Opuścił ramiona.

- Ale nie słuchają. Nie miałem żadnych dowodów. Aż do teraz.

Choć byli sami, głos Bebo przerodził się w szept.

Deevee zbadał przedmiot na szyi Bebo.

- W środku jest jakiś rodzaj obwodu - orzekł droid. - Zdaje się być malutkim generatorem energii. Powiedziałbym, że tworzy małe pole ochronne, takie, jak na statkach kosmicznych. Z tym, że o wiele mniejsze. Jest włączone na bardzo dziwną częstotliwość. Nie jestem pewien, czemu ma służyć. Jednakże pasuje do sprzętu wokół nas.

Tash podsumowała:

- A więc czymkolwiek jest, ten przedmiot został pozostawiony przez tych samych ludzi, którzy zbudowali to miejsce. Imperium. Może Bebo ma rację, Deevee. Może ludzie znikają. A jestem pewna, że to laboratorium ma z tym coś wspólnego. Masz rację, Deevee, powinniśmy powiedzieć wujkowi Hoole.

Tash i Deevee chcieli wrócić do wioski, lecz Bebo nie chciał iść z nimi.

- Zostańcie tutaj! - błagał. - Na zewnątrz nie jest bezpiecznie. Tak właśnie ludzie znikają. Wszyscy. Tutaj jest bezpiecznie.

- Przepraszam, Bebo. Muszę iść.

- To weź to. - włożył jej przedmiot do ręki. Będzie cię tam chronił.

Tash próbowała odmówić.

- Nie mogę go wziąć, Bebo. Jest twój.

- Weź go! - Bebo nalegał. - Myślę, że oszalałem. Może mają rację. Ale ty mi wierzysz. Więc musisz ich przekonać. Jest niebezpieczeństwo!

Tash założyła podarunek na szyję i ukryła go pod koszulą.

- Dziękuję.

- Zbyt długo nas nie ma, Tash - nalegał Deevee - Muszę się stawić do wujka Hoole'a.

Tash nagle się zorientowała, że wujek Hoole oraz Zak byli w niebezpieczeństwie. Byli tam, na powierzchni planety, bez ochrony ze strony urządzenia podobnego do tego, jakie dał jej Bebo. Musieli się pospieszyć.

- Dzięki, Bebo - powiedziała jeszcze raz. - Wciąż nie wiem, co tu się dzieje, lecz przynajmniej wiem, że jest większa tajemnica, niż Hutt Smada.

Tash i Deevee wyleźli z laboratorium i pospieszyli przez cienie pod drzewami.

Spowrotem w laboratorium, Bebo skulił się obok brzegu okropnej przepaści. Bał się jej, lecz wiedział, że jakoś jest ona powodem całego zła, które widział. Teraz, w końcu, był ktoś jeszcze, kto mu wierzył.

Z ciemnej otchłani wydobył się huk. Huk stał się rykiem.

Bebo pochylił się nad brzegiem jaskini. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że widział, jak coś się tam rusza.

Lecz nie zdołał dostrzec Ganka skradającego się za nim, dopóki nie było za późno.

- To za Smadę Hutta - Gank parsknął, unosząc blaster. - Teraz twoja kolej, żeby zniknąć. - Oddał strzał. Uderzył on w Bebo i posłał go w dół otchłani.

W połowie drogi do wioski, Tash spytała Deevee'ego:

- Myślisz, że wujek Hoole mi teraz uwierzy?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł droid. - Z pewnością jest tam laboratorium, lecz co to oznacza? Jest od dawna opuszczone. Jeśli coś się dzieje wokół, powiedziałbym, że ma to o wiele więcej wspólnego ze Smadą Huttem niż z opuszczonym laboratorium. On jest prawdziwym zagrożeniem na tej planecie.

Lecz Tash przestała go słuchać. Do jej uszu dobiegł inny dźwięk.

Siorb-siorb.

Ten sam dźwięk, który słyszała poprzedniej nocy.

- Słyszysz to?

Siorb-siorb.

- Tak - odpowiedział droid - Niespotykany odgłos. Nieco przypomina pijawki z Circarpous Cztery-

- Dochodzi stamtąd.

Z Deeveem tuż za nią, Tash skradała się ku źródłu dźwięku.

Siorb-siorb. Siorb-siorb.

Dźwięk nie tylko stawał się głośniejszy, lecz i jego częstotliwość się zdecydowanie zwiększyła.

A dobiegał zza następnego drzewa.

Tash ostrożnie odsunęła gałąź i wyjrzała na małą polanę. Z początku się uspokoiła. Jedyne, co zobaczyła, to paru Enzeenów stojących wokół polany. Na jej oczach kolejny Enzeen wkroczył pomiędzy nich. Był to Chood.

Tash otworzyła usta, by do niego zawołać. Wstrzymała jednak oddech.

Chood otworzył własne uśmiechnięte usta i wysunął język. Był zaskakująco gruby oraz niesamowicie długi i wystawał mu z ust jak długi, gruby wąż. Wił się przez chwilę w powietrzu, po czym wbił się w ziemię.

Siorb-siorb.

ROZDZIAŁ 12

Siorb-siorb.

Dźwięk wypełnił powietrze.

Co robił Chood?

Tash jeszcze bardziej odchyliła gałąź, by lepiej się przyjrzeć. Lecz gałąź złamała się z głośnym trzaskiem. Enzeenowie popatrzyli prosto na nią.

Wyraźnie widziała twarz Chooda. Zniknął z niej przyjazny uśmiech, na jego miejscu pojawił się nienawistny grymas.

- Widziała nas. Bierzcie ją!

Grupa Enzeenów zaczęła biec w ich stronę. Tash była zmieszana. Dlaczego byli źli?

- Biegnij! - krzyknął Deevee, odciągając Tash od polany.

Po raz drugi w przeciągu dwóch dni, Tash uciekała, by ratować swoje życie.

Tash i Deevee pędzili z dala od małej polany. Lecz Enzeenowie byli zdecydowanie za szybcy. Natychmiast pojawili się za nimi i Tash dostrzegła, jak prześlizgiwali się między drzewami

po obu stronach. Niedługo byliby otoczeni. Obok niej, mechaniczne zawiasy Deevee skrzypiały, gdy próbował dorównać prędkości swojej ludzkiej towarzysze. Nie był zaprojektowany, by biegać przez las. Tash skoczyła nad korzeniem drzewa. Za nią, Deevee się potknął i upadł na ziemię z łomotem. Enzeenowie byli na nim w jednej chwili.

- Deevee! - krzyknęła Tash, zwalniając.

- Biegnij! - odpowiedział jej droid. Następnie został zagrzebany pod kupą Enzeenów.

Tash usłyszała, jak bezlitośnie walili w jego metalowy korpus. Biegając, rzuciła okiem przez ramię, mając nadzieję dostrzec droida.

Gdy znów popatrzyła do przodu, Enzeen stał naprzeciw niej.

Tash odskoczyła w lewo. Lecz był kolejny, i jeszcze jeden. Wszędzie, gdzie patrzyła, byli Enzeenowie. Była otoczona.

Szamotała się, kopiąc i bijąc pięściami, gdy Enzeenowie ją łapali. Ale było ich zbyt wielu.

- Co się dzieje? - spytała - Dlaczego sprawiacie, że ludzie znikają?

Jeden z Enzeenów zaśmiał się złowrogo.

- Nikogo nie skrzywdziliśmy.

- To co się tutaj dzieje?

Enzeen znów się zaśmiał.

- Nigdy się nie dowiesz. - Popatrzył na swoich towarzyszy. - Chood niedługo nas dogoni. Przetrzymamy ją do tego czasu.

Tash się poddała. Enzeenowie byli dla niej za silni. Zaczęła się trząść, gdy zaczęło ją ogarniać uczucie przerażenia. Mimo to, tak, jak w laboratorium, jej strach wzbudził inne uczucie, wrażenie pokoju, spokoju, jak jakaś moc.

Moc.

Tash jej szukała. Chciała ją znaleźć. Pragnęła jej. Lecz nigdy nie myślała, że ją posiadała. Lecz coś czuła. Czyż nie?

- Nie masz nic do stracenia - powiedziała do siebie.

Tash zamknęła oczy. Próbowwała wezwać Moc. Biorąc głęboki oddech, przypomniała sobie, co Jedi pisali o Mocy. Moc nas otacza, czytała, spaja nas. Może przyciągać do nas przedmioty albo je odpychać. Jest to najpotężniejsza siła w galaktyce. Siła armii, flot gwiazdnych, nawet planet, jest niczym w porównaniu z siłą Mocy.

Tash wyobraziła sobie Moc jako pole energii, które odpycha Enzeenów do tyłu. Z początku czuła się głupio. Lecz powoli jej wstyd przechodził, a na jego miejsce pojawiał się spokój. Zapomniała o swoim strachu. Poczwała w swoim ciele dreszcze ciepła. Wyobraziła sobie, jak pole energii się rozszerza, odsuwając wrzeszczące stworzenia coraz dalej i dalej. Gdy to robiła, dreszcz w jej ciele przeobraził się w silny prąd elektryczny, biegnący od góry jej głowy aż do palców u nóg. Przez krótką chwilę czuła jakby połączenie z czymś większym niż ona, większym nawet niż planeta, na której się znajdowała.

Wtedy ziemia zaczęła się ruszać.

Z początku był to niski pomruk. Grunt zaczął się trząść pod ich nogami. W przeciągu paru sekund pomruk przerodził się w ryk, a z delikatnych wibracji powstało prawdziwe trzęsienie ziemi. Enzeenowie krzyknęli, zaskoczeni. Drzewa zaczęły trzeszczeć, parę z nich się złamało i upadło na ziemię. Tash upadła, kaszłąc, gdy trzęsienie ziemi unosiło chmury pyłu i suchych liści. Słońce zdawało się zniknąć, gdy niebo stało się ciemne. Gdzieś w oddali Tash usłyszała najgłośniejszy odgłos w swoim życiu, dźwięk, jakby ocierały się o siebie dwie góry. Ogłuszająca eksplozja zdawała się dobiegać od spodu i z góry. Później, myśląc o przeszłości, Tash pomyślała, że gdyby planeta umiała mówić, mówiłaby głosem właśnie tak głośnym.

Trzęsienie się skończyło jeszcze szybciej, niż się zaczęło. Nastąpiła ostateczna eksplozja, jak wielka zamykająca się brama, po czym dźwięk po prostu ucichł. Gałęzie drzew, wstrząśnięte przez trzęsienie, wibrowały jeszcze przez parę sekund. Następnie nastąpiła cisza. Pozostał tylko mrok. Dzień zdawał się przejść od przedpołudnia do wieczora w parę sekund. Było to tak, jakby trzęsienie ziemi sprawiło, że planeta się obróciła od słońca.

Czy ja to zrobiłam? Zastanawiała się.

Trzęsienie ziemi zaskoczyło Enzeenów tak samo jak Tash. Oni również upadli na ziemię. Tash dostrzegła swoją szansę.

Biegła.

Tym razem nie oglądała się za siebie. Biegła tak szybko, jak potrafiła, ignorując smyrające ją gałęzie. Jeśliby tylko zdołała dotrzeć do wioski, Hoole i osadnicy by jej pomogli.

Tash nie słyszała, by ktoś ją śledził. Enzeenowie byli zbyt zaskoczeni trzęsieniem, by ją gonić. Wiedziała, że to nie potrwa długo, więc nie zwalniała. Nie miała zamiaru się zatrzymywać, dopóki nie będzie bezpieczna.

Pośród drzew dostrzegła budynki wioski. Serce jej podskoczyło. Da radę! Będzie bezpieczna!

Tash wybiegła spośród drzew do wioski, krzycząc:

- Wujku Hoole, wujku Hoole! Zak! Ktokolwiek!

Zero odpowiedzi.

Krzyczała jeszcze bardziej, biegając od drzwi do drzwi. Pobiegnęła główną ulicą. Pobiegnęła do kosmoportu. Pobiegnęła do kantyny Lepiej Nie Wchodzić.

Lecz wioska była całkowicie opustoszała.

ROZDZIAŁ 13

Była zupełnie sama.

Jakimś cudem, każda osoba w wiosce zniknęła. Wujek Hoole zniknął. Zak zniknął. Nawet Deevee zniknął. Najgorszy koszmar Tash się ziścił. Została osamotniona.

Wiedziała, że Enzeenowie niedługo ją znajdą. Nie obchodziło ją to. Jej cała rodzina zginęła. Jej biedni rodzice zostali obrócenii w pył podczas destrukcji Alderaana. Teraz Hoole i Zak zniknęli, razem z wioską pełną osadników.

Wtem przyszła jej do głowy jeszcze okropniejsza myśl. Czy ona to spowodowała?

Próbowała wezwać Moc. Zamiast tego powstało trzęsienie ziemi. Czy pochłonęło ono wieśniaków – oraz Hoole'a i Zaka? Czy ona stworzyła trzęsienie ziemi Mocą?

Ta myśl jej ciążyła niczym waga planety.

Słaba i zrezygnowana, Tash poszła do kosmoportu. Wszystkie statki wciąż tam były. Nikt nie odleciał z planety. Lecz wciąż ich nie było.

Tash zatrzymała się przed Lightrunnerem. Przez chwilę rozważyła odlecenie nim, by uciec przed Enzeenami. Lecz wiedziała, że nie da rady tego zrobić. Mogła tylko udawać, że jest pilotem. W rzeczywistości nie umiała latać statkiem kosmicznym.

Ciągnąc za sobą nogi, Tash potknęła się o coś. Była to płaska deska długa na około półtora metra, z paskami przymocowanymi na górze i silnikami z tyłu.

Skimboard Zaka.

Co on tu robił?

Obok niego, Tash zauważyła rozbitą szklaną miskę.. a pośród kawałków szkła były trzy lub cztery małe, oślizgłe ciała. Węgorze. Miska węgorzy.

Smada Hutt tam był. Zak również.

Tash usiłowała się uspokoić. Może Zak nie zniknął. Może został porwany przez Smadę. Może Zak miał rację. Smada stał za tymi wszystkimi zniknięciami.

Ale co z Enzeenami? Czym oni byli? Dlaczego chcieli ją zabić?

Tash miała pełno pytań w głowie. Nie знаła na nie odpowiedzi. Wiedziała tylko jedno, a mianowicie, że wyglądało na to, że jej brat został porwany przez Smadę.

Co oznaczało, że może wciąż być żywy.

Tash wetknęła skimboard pod ramię i opuściła kosmoport. Poszła do wioski, szukając fortecy Smady.

Nie zauważyła, że coś się za nią powoli skrada.

Forteca Smady nie była trudna do znalezienia. Tak, jak jej wujek powiedział, znajdowała się w lesie nieopodal odległego krańca wioski. Wieże z brzydkich brązowych kamieni wyrastały spomiędzy drzew. Z odległości wyglądały jak zniekształcone giganty. Na standardy Huttów było to małe miejsce, bardziej przypominające domek letniskowy niż fortecę, lecz Tash budowla przypominała pałac.

Było już prawie ciemno, gdy Tash tam doszła. Znowu zastanawiała się, co się stało z dniem. Czy było po prostu później, niż myślała? Ale nie, dopiero się przecież obudziła parę godzin temu. A jednak dzień już prawie się skończył.

Podeszła do drzwi wejściowych i zapukała.

Gankowie ją wpuścili. Przeszukali ją dobrze i kazali zostawić skimboard przy drzwiach. Za drzwiami była duża hala, na tyle duża, by pomieścić ego Hutta. W pokoju było sześciu Ganków-ochroniarzy. Smada Hutt leżał na swojej platformie, chrząkając. W jednym z kątów, w małej klatce, siedział jej brat.

- Tash! - krzyknął.

- Witaj - powiedział Smada - Spodziewałem się ciebie.

- Wypuść mojego brata - zażądała Tash.

Gankowie się zaśmiali.

- Jak najbardziej - odpowiedział Smada - Gdy tylko mi powiesz, gdzie jest Hoole.

Tash była zszokowana.

- Nie wiem gdzie on jest. Myślałam, że ty go porwałeś.

- Ja? - odparł Hutt - Nie bądź głupia, dziewczynko. Jeślibym już miał twojego wuja, to bym się nie bawił z tobą i twoim bratem. Wasza dwójka jest bez znaczenia, lecz zdolności Hoole'a sprawią, że dostanę miliony!

- Twoje miliony nic nie będą znaczyć, jeśli będziesz martwy - powiedziała mu. - Masz pojęcie, co się tutaj dzieje? Nie czułeś trzęsienia ziemi?

Smada wzruszył ramionami.

- Trzęsienie ziemi. Nic wielkiego.

- Byłeś w wiosce? Nikogo tam nie ma!

Smada prychnął.

- Tak jak powiedziałem, nic wielkiego. Te wieśniaki mnie nie obchodzą. Nie obchodziłoby mnie, gdyby ziemia się rozwarła i ich wszystkich połknęła, dopóki dostanę mojego Shi'ido.

Tash znów próbowała go przekonać:

- Jesteś w takim samym niebezpieczeństwie jak my, Smada. Ludzie znikają. A Enzeenowie są źli. Próbowali mnie zabić.

Smada się zaśmiał.

- Ja cię zabiję, jeśli mi nie powiesz, gdzie jest twój wujek. Albo nie, czekaj, mam lepszy pomysł.

Dał znak jednemu ze swoich Ganków-ochroniarzy. Ogromna bestia wyciągnęła Zaka z jego skrzynki i przyciągnęła do platformy Smady.

- Puść mnie, ty ohydny-

- Cisza! - ryknął groźnie Smada. Zak wbił w niego wzrok, lecz nic nie mówił.

Celując blasterem w Zaka, Smada obrócił się do Tash.

- Powiedz mi, gdzie jest twój wujek, albo zabiję ci brata.

ROZDZIAŁ 14

Tash nie wiedziała, co powiedzieć. Jak mogła uratować Zaka, nie znając odpowiedzi na pytanie Smady? Ale coś musiała powiedzieć.

Otworzyła usta, by przemówić. Gdy to zrobiła, w komnacie rozbrzmiał przerażający ryk, odbijający się od ścian i ogłuszający wszystkich w środku. Smada upuścił blaster i usiłował zakryć sobie uszy małymi rękami. Nawet bezlitośni Gankowie wrzasnęli i zakryli uszy. Nikt z obecnych w sali nigdy czegoś takiego nie słyszał.

Z wyjątkiem Tash, która poznała dźwięk.

Był to ryk smoka krayt.

W drzwiach stał Deevee. Był pogięty i zmaltretowany, ale funkcjonował.

- Łap! - krzyknął, rzucając im coś.

Był to skimboard Zaka. Prześlizgnął się po podłodze, dopóki Tash go nie zatrzymała stopą.

- Zak, chodź! - weszła na deskę i poczuła, jak paski przymocowujące przyklejają się do spodu jej stóp. Zak wciąż był nieco zdezorientowany, lecz i on dał radę wskoczyć na deskę.

- Przygotuj się - ostrzegł.

Aktywował repulsory, a Tash poczuła, jak jej żołądek się zapada. Nagle unosili się trzy metry nad ziemią.

- Nie-nie możesz lecieć niżej?

Zak się zaśmiał.

- Nie. To najniższe ustawienie.

- Brać ich! - ryknął Smada. Hutt i jego ochroniarze szybko się ocknęli z ryku smoka, lecz znów zaskoczył ich widok dwójki więźniów unoszących się nagle tak wysoko nad ziemią.

- Załatwić ich!

Gankowie otworzyli ogień.

Zak i Tash zobaczyli białe od gorąca promienie energii wokół siebie. Usłyszeli ogień z blasterów w powietrzu i poczuli charakterystyczną woń pocisków laserowych.

Lecz ani jeden strzał ich nie trafił.

- Oni wcale nie mają celu! - Zak się zaśmiał.

Tash przypomniała sobie atak gangsterów na Bebo.

- To nie oni, Zak. To to! - wyciągnęła przedmiot, który wciąż miała zawieszony na szyi. - Bebo miał to na sobie. Chronił go przed zniknięciem. I chyba też przed blasterami!

Lecz teraz nie było czasu na oglądanie urządzenia. Pociski z blasterów ich nie trafiały, lecz przelatywały bardzo blisko. Zak włączył silnik skimboarda i poleciał w stronę wyjścia, gdzie czekał Deevee. Niektórzy Gankowie wciąż strzelali, podczas gdy inni podskakiwali, próbując ich złapać i ściągnąć na dół. Zak obracał i skręcał skimboard, by ich unikać.

- Musimy brać Deevee! - powiedziała Tash - Jesteś pewien, że to coś udźwignie naszą trójkę?
- spytała.

- Żartujesz sobie? - odpowiedział Zak - Z tymi modyfikacjami mógłby unieść Hutta! Ale nie ma na nim miejsca na trzy osoby.

- Łap się spodu! - Tash krzyknęła do Deevee.

Teraz, gdy byli bliżej, Tash zobaczyła dokładnie, jak bardzo zniszczony był droid. Kable miał na wierzchu w miejscach, gdzie miał zerwane srebrne płyty. Każdy centymetr jego ciała był pognieciony.

Ogromnym skokiem, zniszczony droid sięgnął do góry i chwycił się skimboardu. Trzymał się jego spodu, gdzie repulsory działały prosto na niego, lecz nie puszczał.

- Dasz radę, Deevee? - krzyknęła Tash.

- Nie wydaje mi się, że mam jakiś wybór! - odparł droid - Leć!

Zak wcisnął przyspieszenie i wylecieli przez otwarte drzwi. Uciekną!

- Wszyscy jesteście bezużytecznymi głupcami! - Smada Hutt warknął na swoich ochroniarzy.

Nie stał się wybitnym kryminalistą tylko dzięki bezwzględności – miał świetny i sprytny umysł. Wiedział, że było to niemożliwe, by wszyscy jego Gankowie nie trafiali w cel.

Smada podniósł swój blaster i uważnie wycelował w oddalający się skimboard. Dwukrotnie pociągnął za spust.

Pociski energii w mgnieniu oka pokonały odległość. Pierwszy strzał przeleciał tuż nad głową Deevee i między jego ramionami. Drugi musnął spód skimboardu, odcinając repulsory, które sprawiały, że trzymał się w powietrzu. Mikrosilniki zaświstały, po czym skimboard się zawahał i spadł.

- Uważaj! - krzyknęła Tash. Deska zniknęła spod jej stóp i spadała swobodnie przez ciemność. Ziemia szybko się zbliżała, a ona twardo o nią uderzyła.

Zaparło jej dech w piersiach. Usłyszała, jak Zak obok niej nagle krzyczy:

- Pomocy! Pomocy!

Instynktownie sięgnęła ręką w jego stronę i dotknęła jego ramienia. Natychmiast przestał się drzeć.

- Co jest? - krzyknęła.

- Ni-nie wiem - odparł jej brat, zszokowany. - Czulem, jak coś mnie łapie. A kiedy ty mnie dotknęłaś, przestało.

- Widziałeś to?

- Tash, ja z trudem ciebie widzę! Tu jest czarno.

To była prawda. Zapadła noc. Co było niemożliwe... chyba, że planeta zaczęła się szybciej obracać w kosmosie.

Tash wstała i Zak natychmiast znowu krzyknął. Tash poczuła, jak rozpaczliwie ją łapie.

- Nie puszczaj! Nie puszczaj mnie znowu! - wyszeptał.

Strach w jego głosie ją przeraził.

- Co to?

Nieustraszony Zak trząśnięty ze strachu.

- Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Ale jest silne. I mnie weźmie, jeśli puścisz!

ROZDZIAŁ 15

- Deevee, widzisz cokolwiek? - spytała Tash - Użyj podczerwieni.

- Nie działa - odparł droid - Tak jak większość moich systemów, dzięki tym Enzeenom. Dobrze, że mnie zostawili, zanim mnie wykończyli!

- Enzeenowie? - spytał z niedowierzaniem Zak. - Zaatakowali cię?

Tash powiedziała szybko swojemu bratu o laboratorium, trzęsieniu ziemi, pustej wiosce i o tym, że Hoole zniknął.

Głos Zaka był roztrzęsiony.

- Świetnie. Co robimy? Smada jest gdzieś za nami. Enzeenowie chcą cię zabić. Wujek Hoole zaginął. A w tej ciemności jest coś, co na nas poluje!

- Czy skimboard działa? - spytała Tash.

Deevee miał w fotoreceptorach malutką latarkę, która wciąż działała. Zapalił ją Zakowi. W małym promieniu światła Zak obejrzał swoją deskę. Długa czarna szrama przebiegała przez główną dyszę repulsora. Ostry zapach ozonu unosił się w miejscu, gdzie trafił strzał Smady.

- Nic z niej na chwilę obecna. Mikro-tłumik został trafiony. Ale myślę, że dałbym radę go naprawić, jeślibym miał chwilę.

- W takim razie lepiej uciekajmy. Deevee, dasz radę biec?

- Nie - odpowiedział sucho droid. - Będziecie mnie musieli zostawić.

- Nie tym razem - powiedziała Tash. Objęła go w taliu jedną ręką. Zak zrobił to samo z drugiej strony.

- W którą stronę? - spytał Zak.

- W stronę kosmoportu. Może razem damy radę odlecieć stąd Lightrunnerem.

- Myślę, że nie. - jasny promień światła nagle ich oświetlił. Smada i jego ludzie już go znaleźli.

Hutt siedział na swojej platformie, wokół niego było sześciu Ganków. Bił wzrok w Zaka i Tash.

- Przeprowadźcie mi ich tutaj.

Jeden z Ganków wyskoczył do przodu, by ich złapać.

Następnie zniknął.

- Aiiiiieeeee! - przesywający wrzask wypełnił powietrze. - Pomocy! Pomóżcie mi! Ma mnie! Aiiiiiee-! - nagle ucichł.

Smada poświecił latarką w miejsce, gdzie przed chwilą stał zbir. Lecz niczego tam nie było.

Nawet śladu stopy.

- Co to?! - Krzyknął Deevee - Co się dzieje?

W ciemności rozległ się głos Smady. Był wciąż potężny i dumny, lecz był w nim także strach.

- Coś tam jest! - krzyknął do swoich ochroniarzy. - Przynieście mi te bachory i wynośmy się stąd!

Kolejny Gank ostrożnie wyszedł do przodu, podczas gdy reszta trzymała blastery w gotowości. Tym razem Smada świecił latarką w plecy zbira.

I tym razem to zobaczyli. W mgnieniu oka, pod stopami Ganka zrobiła się dziura w ziemi i stwór w nią wpadł.

- Pomocy! - krzyknął.

Gank wyprostował ręce na zewnątrz, zasysany w dół, tym sposobem zatrzymując upadek przy ramionach. Próbował się wydostać z dziury, lecz zamknęła się wokół niego jak zaciskająca się szczeka. Sama ziemia zwęziła się wokół jego klatki piersiowej i Gank zawył z bólu.

Pozostali Gankowie już do niego dotarli. Chwycili go za ręce i usiłowali wyciągnąć z dziury. Lecz zamiast tego coś o wiele, wiele silniejszego wciągało go jeszcze głębiej pod ziemię.

- Aiiiiiii! - Gank wrzasnął. Był to przerażający odgłos, szczególnie z gęby takiego zbira. - Boli mnie! Boli mnie! - W oczach miał wielki strach. - Jestem pożerany żywcem!

Tash i Zak patrzyli, sparaliżowani strachem.

- Zastrzelić to! - ryknął Smada.

- Zastrzelić co? - spytali ochroniarze. - Nic tam nie ma!

Patrzyli bezsilnie, jak głowa Ganka była wciągana pod ziemię wraz z resztą jego ciała, dopóki jedynym, co zostało, była jedna ręka wystająca ponad grunt. W końcu i ona zniknęła. Dziura się zamknęła tak, jakby jej nigdy nie było, a ofiara przepadła.

Dla reszty ochroniarzy było to już za dużo. Smada nie płacił im wystarczająco za coś takiego. Poszukali jakiegoś bezpiecznego miejsca. Lecz co było bezpieczne od ziemi?

Platforma Smady.

Pięcioro pozostałych Ganków zaczęło oblegać unoszącą się platformę, usiłując uratować się przed potworem pod ziemią. Nie było wystarczająco miejsca na zatłoczonej platformie i zaczęli się nawzajem drapać i bić jak ludzie walczący o ostatnią kapsułę ratunkową w statku, który miał się lada chwila obrócić w pył.

- Idźcie sobie, wy oślizgłe bestie! - ryknął Hutt. Zamachnął się swoim grubym ogonem, zmiatając ich ze swojej platformy.

Wszyscy oprócz jednego Ganka zostali wciągnięci pod ziemię pośród wrzasków. Za każdym razem dziura się zamykała tak, jakby jej tam nigdy nie było. W przeciągu paru chwil, ludzi Smady już nie było.

Zak, Tash i Deevee stali na ziemi. Potwór zdawał się nie być zainteresowany Deeveem. Tash była chroniona, tak samo jak Zak, dopóki trzymał się jej ręki. Na platformie siedział ocalały Gank oraz Smada Hutt. Masywne cielsko Smady zatrzęsło się z wściekłości.

- CO TO JEST! - ryk wydobył się ze Smady jak grzmot pioruna. Ogromny Hutt wyprostował się tak, jak tylko umiał, utrzymując równowagę na końcu swojego grubego cielska. Tak rozciągnięty, Smada sięgał trzy metry nad pokład platformy, sprawiając, że nawet jego Gank-ochroniarz wyglądał jak karzeł. Był to niesamowity widok, a jego głos był tak potężny, że dałby radę wywołać demona.

Zamiast tego wywołał Enzeenów.

Pojawili się pośród lasu, dwudziestu, wszyscy z lampami w rękach. Szli spokojnie po gruncie, nie bojąc się tego, co właśnie połknęło pięciu Ganków.

Tash poznała przewodzącego Enzeena.

- Chood. - głos Smady przypominał sztylet. - Co tu się wyprawia?!

Chood odpowiedział na wzrok Smady znudzonym spojrzeniem.

- Twój koniec.

- Ba! - Smada zwinął się z powrotem do swojej zwykłej pozycji. - To jakaś twoja sztuczka. Jest bestia, jakiś potwór, który ryje tunele pod ziemią i się chowa. Atakuje z dołu.

Chood się uśmiechnął.

- Bestia się nie chowa.

Obok Smady, Gank walił ręką o pokład platformy.

- To gdzie jest bestia? Gdzie?!

Wszyscy Enzeenowie się zaśmiali. Tak jak wcześniej, uśmiech Chooda stał się złowieszczy.

- Po całym tym czasie wciąż nie rozumiesz! Tajemnica D'vourana do ciebie nie dociera. - Zaśmiał się nikczemnie. - Myślisz, że zostaniesz zjedzony przez bestię pod planetą. Nie zdajesz sobie sprawy, że to sama planeta cię zje!

Chood ryknął śmiechem.

Tash się zatrzęsała. Planeta. To planeta. To ona była źródłem jej przerażenia. Dlatego miała wrażenie, że jest obserwowana. Planeta – wszystko wokół niej – ją obserwowało.

Popatrzyła na ziemię i zastanawiała się, co czeka pod spodem: niewidzialne kły zdzierające im skórę z kości. Nogi jej się ugięły, przytrzymała się Zaka, by nie upaść.

Lecz Zak bał się równie bardzo. Ziemia, prosta, zbita ziemia, po której stąpali każdej minuty każdego dnia, stała się nagle potworem. A jedynym, co ich chroniło, był naszyjnik zawieszony na szyi Tash.

Pośród tego całego strachu, Smada Hutt wygrzebał sobie spod paznokcia kawałek ziemi. Zapomniał już o swoich opryskach. Mogli być zastąpieni. Jego umysł już ogarnął przerażającą sytuację i teraz szukał sposobów, by ją wykorzystać. W końcu był Huttem.

- Chood - zaczął ostrożnie. - Jestem pewien, że możemy dojść do jakiegoś kompromisu. Może, na przykład, gdybym ci zaoferował dwa miliony kredytów w zamian za moje bezpieczeństwo?

- Nie zaoferowałbym ci bezpieczeństwa nawet gdybym mógł - odparł Enzeen - Nie mamy kontroli nad D'vouranem. Żywi się, gdy tego chce. A jest głodny.

Smada nie dawał za wygraną.

- Może sobie wziąć dzieci.

- Wielkie dzięki, obrzydliwy ślimaku! - krzyknął Zak.

- Cicho, dziecko! - odparł groźnie Smada. - Robimy tutaj interesy.

Chood potrząsnął głową.

- Nie będzie interesów. Głód D'vourana będzie zaspokojony.

- To dlaczego was nie je? - Tash się zastanawiała.

Enzeenowie wybuchnęli szorstkim śmiechem. Paru z nich zatupało w ziemię.

- Żyjemy w harmonii z planetą - powiedział Chood. - Upewniamy się, że planeta jest najedzona, a w zamian ona żywi nas.

- Żywi was? - spytał Zak - Jak?

W odpowiedzi Chood otworzył szeroko usta. Znow wysunął wijący się język i wbił go w grunt D'vourana. Wielu innych Enzeenów zrobiło to samo. Siorb-siorb ich żywienie wypełniło powietrze.

- Zaraz zwymiotuję - jęknął Zak.

Deevee pierwszy zrozumiał, na co patrzył.

- Jako, że ta planeta jest żywa, Enzeenowie muszą jakoś wysysać pożywienie z ziemi.

- To pasożyty - szepnęła Tash.

Chood wyjął język z ziemi i schował go z powrotem do ust. Obliznął usta i się uśmiechnął.

- D'vouran pozwala nam żyć na sobie, gdyż przyciągamy pożywienie. Dopóki on jest karmiony, my się nim karmimy.

- Zwabiacie tutaj ludzi, by zostali zjedzeni? - powtórzył z niedowierzaniem Zak.

Chood się uśmiechnął.

- Naszym zadaniem jest służba. - zaśmiał się.

Tash się zatrzęsała. Nie mogła się jednak oprzeć, by nie spytać:

- Ale to dlaczego nas w takim razie nie pożarła z chwilą, gdy wylądowaliśmy?

Chood popatrzył na nią tak, jakby była wariatką.

- Jaki to by miało cel? D'vouran zjada jeden posiłek dziennie, czasem dwa, ale wszystko ponad to odstraszyłoby inne ofiary. Zamiast tego, D'vouran zjada swoje ofiary powoli. Bawił się z wami, biorąc tu jednego, tam drugiego.

- Dopóki nie pożarł całego miasta! - Tash krzyknęła.

Enzeen wskazał palcem na Tash.

- To twoja wina!

Tash się skrzywiła.

- Moja wina? Jak?

- Ty i ten szaleniec zaczęliście odkrywać sekrety D'vourana. Planeta nie mogła zaryzykować waszej ucieczki, więc pożarła wszystkich w mieście z chwilą, gdy wyszli z domów podczas trzęsienia ziemi.

- To dlaczego nie zje bachorów Hoole'a? - spytał Smada.

Chood zamrugnął powiekami. Dopiero co zdał sobie sprawę z tego, że podczas gdy Smada siedział na swojej platformie, Zak i Tash mieli stopy na ziemi. Enzeenowie się do nich zbliżyli.

- Odsuń się! - ostrzegł Deevee. Chwył jednego Enzeena, lecz inny sięgnął za droida i znalazł mały przełącznik na jego plecach. D-V9 został zdezaktywowany i upadł na ziemię.

- Deevee! - krzyknęła Tash.

Chood wskazał palcem skimboard przymocowany do pleców Zaka.

- Ty! - powiedział do innego Enzeena. - Zdejmij ten sprzęt.

Serce Tash zamarło, gdy wzrok Chooda spoczął na jej naszyjniku.

Ku jej zdziwieniu, nie ściągnął go.

- Interesujące. Byliście w laboratorium. Powinienem był wiedzieć, że coś takiego mogło być pozostawione przez stwórców.

- Stwórców? - spytała. - Ktoś stworzył tę planetę?

Chood miał właśnie zamiar zerwać przedmiot z jej szyi, tym samym zsyłając ją w przepaść, ale nagle zaświeciły mu się oczy.

- Chyba odpowiem ci na to pytanie. Zabrać ich!

Enzeenowie poruszali się niepokojąco szybko. Zak i Deevee zostali ściągnięci w dół obok Tash i została na nich nałożona ciężka sieć. Szarpali się przez chwilę, lecz groźny ryk ze strony Enzeenów ich uspokoił.

Reszta Enzeenów zbliżyła się do platformy Smady. Pozostały przy życiu Gank spanikował i zeskoczył z platformy, biegnąc między drzewa. Enzeenowie nie fatygowali się, by go gonić. Okryli Smadę siecią znacznie większą i mocniejszą niż ta, która trzymała Tash, Zaka i Deevee.

Gank nie przebiegł nawet dziesięciu metrów, zanim wrzasnął i upadł. Jego stopa zaplątała się w dziurę w ziemi. Lecz gdy próbował ją uwolnić, zorientował się, że zamknęła się ona wokół jego kostki. Gank próbował wstać. Zamiast tego, jakaś olbrzymia siła złapała mu nogę i ściągnęła go na dół.

Chood znów się zaśmiał.

- Widzicie? Nie ma ucieczki z D'vourana. Nie ma dokąd biec.

Podczas gdy większość wojowników stała nad swoimi jeńcami, paru Enzeenów zniknęło w lesie. Po chwili wrócili, niosąc dwa długie, ostre kije. Wciąż zaplątani w sieć, Zak, Tash i Deevee zostali przywiązani do jednego z pali, z których zwisali jak worek owoców. Smada został podobnie przywiązany do drugiego, lecz nie bez walki.

- Robale! Żarcie dla Banth! Wydłubię wam oczy i zjem wam mózgi! Huttowie zostawią swój szlam na waszych zapomnianych grobach!

Szamotał się z siecią, która go oplątała, lecz Enzeenowie sprawnie unikali jego rąk i ogona, którym wymachiwał. Dwóch albo trzech Enzeenów ustawiło się na końcach każdego z kijów, po czym podnieśli je i położyli sobie na ramionach.

Dopiero, gdy wszyscy byli dobrze związani i nie dotykali już planety, Chood sięgnął po naszyjnik. Zerwał go Tash z szyi.

- Chood! - błagała Tash. - Co zrobisz?

Chood syknął radośnie:

- Dam ci odpowiedź na twoje pytanie. Zabiorę cię do Serca D'vourana. Tam spotka was taka śmierć, że wszystkie inne przy niej przypominają dar. W Sercu D'vourana, każdy składnik pokarmowy z twojego ciała może być dokładnie strawiony. Będziesz zjedzona bardzo powoli. Pożarta żywcem.

ROZDZIAŁ 17

Enzeenowie zabrali ich do podziemnego laboratorium.

Tam, w głębokiej komnacie, Zak, Tash i Smada zostali zabrani nad brzeg przepaści. Tash myślała, że była tak przygnębiona, jak to tylko możliwe. Nieżywe ciało Deevee zostało rzucone obok niej.

Strach zdawał się promieniować z przepaści jak zatruta woda z fontanny. Strach wypełnił Zaka i Tash. Byli pod ziemią – wewnątrz żywego stworzenia, okropnej istoty. I mieli się stać jej pokarmem.

- Tutaj zawiodła cię twoja ciekawość - oznajmił Chood - Poznacie zupełnie inny wymiar cierpienia. Jeśli myśleliście, że wasi przyjaciele i znajomi na powierzchni cierpieli, byliście w błędzie. Ich śmierci były szybkie i w miarę bezbolesne – większość z nich się udusiła, będąc wciągany pod powierzchnię D'vourana. Tutaj, w Sercu D'vourana, agonია jest tysiąc razy wolniejsza i tysiąc razy gorsza, jako, że ofiary planety są powoli trawione tydzień po tygodniu. Włóżcie ich!

Enzeenowie wypuścili Zaka i Tash z sieci i wepchnęli ich na czekającą platformę.

- Czekaj! - rozkazał Chood. Wskazał na jednego z Enzeenów. - Ty! Mówiłem ci, że masz zdjąć to urządzenie!

Jeden z Enzeenów zapomniał zdjąć deskę Zaka. Pod gniewnym spojrzeniem Chooda, szybko odpiął ją z jego pleców, po czym się odsunął.

Potrzeba było czterech Enzeenów, by wciągnąć Smadę na platformę. Uwolnili go szybko z sieci, gdy platforma została szybko zepchnięta do przepaści. Masywny Hutt wił się, rycząc:

- Karma dla banth! Gówno nerfów!

Platforma się przechyliła, a Zak i Tash trzymali się kabli z boku.

Chood zwrócił się do nich z brzegu przepaści, wskazując do jej środka.

- Chciałaś znać sekret D'vourana. Oto on. Z tego miejsca, D'vouran został po raz pierwszy ożywiony przez jego stwórców i po raz pierwszy się nauczył karmić z tej przepaści.

- Imperialni naukowcy - Tash westchnęła. - Ciągłe szukają nowych sposobów, by krzywdzić innych.

- Lecz planeta przeżyła swoich stwórców i nauczyła się nowych i lepszych sposobów, by się żywić. - kontynuował Chood - Naukowcy stracili kontrolę nad swoim dziełem. Zostali zjedzeni, tak jak wszyscy, którzy przybyli po nich. Teraz wy pójdziecie w ich ślady.

- Chood! Chood! - krzyczał Smada - Nie jest za późno! Cztery miliony kredytów! Kupię ci nową planetę!

Chood go zignorował. Liczni Enzeenowie popchnęli ramię dźwigu i pasożyty zaczęły opuszczać linę.

- Musimy coś zrobić! - krzyknął Zak.

- To moja wina. - powiedziała Tash. Miała suche gardło. Jej głos był cichszy niż szept. - Powinnam była słuchać swoich uczuć i kazać wujkowi Hoole'owi opuścić tę planetę. Wtedy on by żył a my bylibyśmy bezpieczni!

- To nie twoja wina, Tash - odpowiedział Zak. - Ja cię nie posłuchałem. Nikt cię nie słuchał.

Tash spojrzała na dół w przepaść. Coś się ruszało na dole. I się zbliżało. Gdy byli spuszczeni do przepaści, wijąca się, pulsująca masa unosiła się na spotkanie z nimi.

Tash nie mogła patrzeć. Podniosła wzrok na twarze Enzeenów, którzy operowali dźwigiem. Im więcej D'vouran jadł, tym więcej i oni mogli się żywić. Wszyscy patrzyli głodnie.

Wszyscy za wyjątkiem jednego.

Enzeen, który wziął skimboard, obrócił się do Chooda. Bez ostrzeżenia podniósł skimboard tak wysoko, jak tylko mógł, po czym spuścił go z całą siłą na głowę Chooda!

Chood upadł na ziemię. Enzeen natychmiast się na niego rzucił, wrywając mu coś małego i błyszczącego z ręki.

Naszyjnik.

Reszta Enzeenów się na niego rzuciła. Lecz tamten zrobił coś totalnie niespodziewanego.

Zmienił swój kształt. Pasożyty znalazły się nie przed jednym z nich samych, lecz naprzeciwko warczącego Wookiee'ego.

- Wujek Hoole! - Tash i Zak wykrzyknęli jednocześnie.

- Hoole! - Smada ryknął. - Wyciągnij nas stąd!

Enzeenowie zawahali się tylko na moment. Następnie rzucili się na Wookieego, okładając go z każdej strony. Wookiee odwzajemniał atak potężnymi ciosami z jednej ręki, trzymając naszyjnik w drugiej wysoko nad ziemią.

Cały ten czas platforma ciągle się zniżała.

Jeden z Enzeenów został wyrzucony nad brzeg przepaści. Zak i Tash patrzyli, jak spadał, wrzeszcząc, do wijącej się masy pod spodem. Po paru chwilach wszyscy Enzeenowie byli porzrzućani na boki.

Wookiee dotarł do dźwigu w paru dużych krokach. Lecz zanim mógł cokolwiek z nim zrobić, coś bardzo twardego i ciężkiego uderzyło go w tył, przybijając go do dźwigu. Urządzenia maszyny pękły pod ciężarem Wookieego i platforma się zatrzymała. Uderzenie również zdekongcentrowało Hoole'a, który nagle powrócił do swojego kształtu Shi'ido, upadając na ziemię.

Chood stał nad Hoolem, trzymając w rękach grubą metalową rurę.

- Daj mi ten naszyjnik! - Chwycił Hoole'a, usiłując wyrwać kryształ spomiędzy palców Shi'ido. Szamotali się nad samym brzegiem przepaści. Hoole był zbyt słaby, by móc się równać z Choodem i po paru chwilach Chood zdobył przedmiot.

Lecz z chwilą, gdy wstał, Chood stracił równowagę. Poślizgnął się i spadł do przepaści D'vourana.

Naszyjnik spadł razem z nim.

Chood, razem z tajemniczym przedmiotem zniknął w podnoszącej się masie, a chwilę później dziwne ciało się zatrzęsło i wybrzuszyło.

- Wyciągnij nas! - krzyknęła Tash. - Wujku Hoole! Wyciągnij nas!

Hoole zatoczył się w stronę dźwigu. Lecz ten nie działał.

- Dźwig jest uszkodzony! Nie mogę go ruszyć!

Tash widziała, jak lawa pod nimi zbliża się coraz bardziej. Wielkie kawałki planety zostawały wypływane w ich stronę. D'vouran wyglądał wściekle.

- Lepiej coś wymyślmy - powiedziała - albo wszyscy zginiemy!

ROZDZIAŁ 18

To Zak wpadł na odpowiedź.

- Mój skimboard! - krzyknął. - Masz wciąż mój skimboard?

Hoole go podniósł.

- Tutaj! Ale nie działa.

- Naprawię go! Rzuć!

Hoole był teraz równie spokojny jak wtedy, gdy stracił panowanie nad Lightrunnerem. Ostrożnie odmierzył odległość, następnie rzucił skimboard w przepaść.

Zak, Tash i Smada patrzyli, jak leci w ich kierunku. Przez chwilę Tash myślała, że przeleci z boku. Wylądował jednak w samym środku platformy i cała trójka więźniów się na niego rzuciła.

- Mam go! - powiedział Zak. - Daj mi minutę.

Tash spojrzała w dół.

- Nie mamy tyle! Pośpiesz się! - gorąca masa była zaledwie parę metrów pod nimi i szybko się unosiła.

- Chyba jest - powiedział Zak, pracując szybko. - Jest!

Skimboard ożył z pomrukiem. Zak wskoczył na niego, by go przetestować.

- Działa!

Zak unosił się na skimboardzie parę metrów nad podnoszącą się lawą. Wyciągnął rękę do Tash, która ją złapała i wskoczyła szybko na deskę. Spojrzała na masywnego Hutta obok siebie.

- A jego jak tutaj zmieścimy?

- To żaden problem - ryknął Smada. - jako, że zamierzam was zostawić. Daj mi tą deskę!

Hutt sięgnął ręką w stronę Zaka, lecz ten się odsunął i unosił się parę metrów obok.

- Nie bądź egoistą! Wszyscy się uratujemy jeśli będziemy współpracować!

- Nie, nie! - zawył Smada - Ja potrzebuję to urządzenie! Jest moje! - z niewiarygodną zwinnością, Hutt skoczył do góry. Złapał skimboard swymi grubymi opuszkami palców. Deska przechyliła się na bok, prawie że strącając Zaka i Tash.

Waga Hutta była zbyt wielka jak na zmodyfikowaną deskę. Zaczęła się szybko zniżać, jak przeludniona łódź ratunkowa nabierająca wody.

- Wszystkich nas zabijesz! - krzyknęła Tash.

- Wracaj na platformę! - błagał Zak - Zejdziemy i znajdziemy jakiś sposób, by cię wyciągnąć.

- Uważasz mnie za idiotę? - parsknął Smada - Daj... mi... wejść!

Lecz skimboard upadł prawie że na powierzchnię masy. Dziwna błotnista macka wynurzyła się i owinęła wokół ciała Smady i gangster ryknął z bólu, puszczając skimboard. Hutt został zassany do wnętrza D'vourana.

Gdy puścił skimboard, ten, bez dodatkowego obciążenia, uniósł się do góry.

Lecz nie wystarczająco wysoko. Góra przepaści wciąż była sześć metrów nad nimi.

- Zabierz nas wyżej! - powiedziała Tash - Wyciągnij nas stąd!

- Nie mogę - odpowiedział Zak - Jestem na pełnej mocy. Skimboard nie poleci wyżej, niż to.

- Co teraz robimy?

Zak popatrzył na ścianę przepaści.

- Powiem ci, co teraz robimy - powiedział. - Polecimy pionowo do góry. I ustanowimy rekord.

Zak wcisnął przyspieszenie i pokierował skimboarda gładko w stronę jednego z końców przepaści. Szczerze mówiąc, nie wiedział, czy da radę. Wczoraj rano zawalił, a to było tylko pięć metrów. Teraz celował w sześć. Rekord.

Poza tym, wiózł pasażera. Nikt jeszcze nie wykonał pionowego lotu z pasażerami. To naprawdę byłby rekord.

Jeśli mu się uda.

Zak wziął głęboki oddech. Miałby tylko jedną szansę. Jeśli zawali, on i jego siostra spadliby do tyłu, prosto do serca D'vourana.

Zak zazgrzytał zębami.

- Trzymaj się.

Zgiął się i wcisnął najwyższy bieg. Skimboard ślizgał się szybko w stronę ściany.

Dziesięć metrów. Siedem metrów. Pięć. Trzy. Teraz!

System antykolizyjny wkroczył do akcji, unosząc dziób do góry. Zak przetransferował całą moc z dolnych wyziewów do tylnego napędu i wychylił się pionowo do góry, celując w sufit. Poczul, jak deska trzęsie się pod jego nogami.

Silnik zazgrzytał. Nie dadzą rady, pomyślał. To była dobra próba. Najlepsza przejażdżka w jego życiu, ale przepaść była po prostu...

Po czym wystrzelił z dziury, prosto jak pocisk do laboratorium, z Tash wciąż na pokładzie.

- Yeeeahhhhhh!

Zak wychylił się do przodu, opuszczając dziób tak, by spód deski był skierowany ku dołowi. Skimboard upadł na swoją wysokość przelotową.

- Zak, udało ci się! - krzyknęła jego siostra.

- To nie czas na świętowanie - ostrzegł Hoole.

Wewnątrz przepaści, bulgotanie przybierało na sile. Błoto wyglądające na lawę wyskakiwało do góry, próbując złapać swoją ofiarę. Zak i Tash przycisnęli się do ścian laboratorium.

- Co się dzieje?! - krzyknął Zak.

- To naszyjnik! - odparł Hoole - Stwarzał pole energii, za którym D'vouran nie przepadał. Dlatego nie pożerał tego, kto miał go na sobie. Teraz właśnie pożarł to pole energii!

Hoole pobiegł do kąta, gdzie leżał porzucony Deevee i szybko włączył droida. D-V9 wstał na nogi.

- Do góry! - rozkazał.

Pobiegli w stronę schodów – Hoole i Tash pomagali Deevee – prowadzących na następny poziom.

W samą porę. Błoto wylało się na zewnątrz przepaści, olewając podłogę trzęsącym się szlamem. Wciąż się podnosiło.

Dotarli do wyjścia. Tylko parę godzin temu Bebo zepchnął Tash w tą samą dziurę.

- Zak - odezwał się Hoole - Czy to urządzenie da radę przetransportować waszą trójkę z powrotem do kosmoportu?

- Myślę, że tak.

- Ale nie zostawimy cię z tyłu, Mistrzu Hoole! - nalegał Deevee.

- Oczywiście, że nie. - odparł Shi'ido.

Następnie Hoole zniknął. Przez chwilę myśleli, że naprawdę go nie było. Wtem Tash prawie podskoczyła, gdy malutki gryzoń wskoczył na jej nogę i wdrapał się na jej ramię.

- Chodźmy! - powiedziała.

Błoto dotarło do schodów za nimi. Podnosiło się w górnej komnacie. Goniło ich.

Zak, Tash i Deevee wszyscy weszli na skimboard. Z trudem się zmieścili, lecz gdy Zak włączył silniki, deska uniosła się nad ziemię.

Tak szybko, jak tylko mógł, Zak pokierował skimboardem do góry i wyleciał z laboratorium. Unieśli się i wylecieli z dziury.

I wlecieli do koszmaru.

Wszędzie wokół nich, tak daleko, jak sięgał wzrok, ziemia zaczęła się gotować. Drzewa zapadały się do gotującej się lawy. Kule ciekłej gleby unosiły się i wybuchały wściekle wokół nich. Wężowate błotniste ogony wynurzały się z ziemi, by zablokować im drogę ucieczki.

Zak pędził na skimboardzie tak szybko, jak tylko śmiał, bojąc się, że stracą równowagę i spadną na czekającą powierzchnię D'vourana.

Przelecieli nad miastem. Widoczne były tylko dachy domów. Reszta została zassana do błota.

- Kosmoport wciąż stoi! - powiedział Deevee.

Widzieli ściany lądowiska, do połowy zatopione w błocie. Góra była wciąż widoczna.

Skimboard przeleciał przez bramy kosmoportu i do góry schodami. W chwili, gdy powierzchnia lądowiska znajdowała się pod nimi, Hoole zeskoczył z ramion Tash, transformując się w powietrzu. Spadł na ziemię w biegu.

- Nie ma czasu do stracenia! - krzyknął.

- Patrz! - wrzasnęła Tash.

W grubych ścianach pojawiły się liczne pęknięcia i bulgocząca płynna ziemia zaczęła się wylewać na płytę.

- Do statku! - rozkazał Hoole.

Płyn owinał się wokół podwozia innych statków. Pędzili do Lightrunera, a błoto za nimi.

ROZDZIAŁ 19

Gdy Tash dotarła do kokpitu, Hoole skończył już procedury przedstartowe i był gotowy, by wystartować. Zak i Tash zapięli pasy.

Hoole dodał mocy repulsorom. Silniki się uruchomiły – lecz statek nie drgnął.

Dociskając twarz do szyby kokpitu, Tash spojrzała na lądowisko. Płyta zupełnie zniknęła pod błotem D'vourana. Żywy szlam sięgał do pasa w całym kosmoporcie. Lightrunner był w niego schwytyany.

- Jesteśmy uwięzieni! - krzyknął Deevee.

- Mój skimboard nam tym razem chyba nie pomoże - powiedział Zak.

- Nie będzie musiał - odpowiedziała Tash. - Patrzcie tam!

Na niebie nad kosmoportem pojawił się okrągły statek. Podleciał do nich z zaskakującą zwinnością jak na stary, zmaltretowany koreliański frachtowiec. Jego pilot przeleciał nad Lightrunnerem, po czym sprawnie zmniejszył moc repulsorów tak, by frachtowiec unosił się zaledwie kilka metrów nad Lightrunnerem. Dla większości pilotów był to ryzykowny manewr.

Lecz większość pilotów nie była Hanem Solo.

Zak i Tash otworzyli górny właz Lightrunera. Dźwięk od spodu Sokoła Millennium był ogłuszający, lecz powitała go z radością, tak samo, jak widok otwierającego się spodniego włazu statku. Wyjrzał z niego Wookiee Chewbacca, rycząc do nich, by się pośpieszyli.

Bulgoczące błoto już w połowie pochłonęło Lightrunera.

Podczas gdy Hoole pchał od spodu, Zak i Tash wciągali Deevee na górę. Następnie unieśli go do spodniego włazu Sokoła. Wookiee chwycił droida jedną masywną łapą i z łatwością wciągnął go na pokład. Zak i Tash byli następni. Chewbacca podniósł ich, jakby byli szmacianymi lalkami i upuścił na pokładzie statku Hana Solo, gdzie przejął ich Luke Skywalker.

Głos Hana Solo rozbrzmiał przez komunikator.

- Szybciej, szybciej, co wam tak długo schodzi?

Gdy tylko wszyscy byлина pokładzie, Luke dał sygnał.

- Wszyscy są, Han. Wyośmy się stąd!

Sokół odleciał z rykiem.

Zak, Tash i Hoole pozostawili Deevee pod opieką droidów Luke'a, C-3PO i R2-D2. Gdy chwilę później dotarli do kokpitu, Sokół był pięć kilometrów nad powierzchnią D'vourana. Leia opuściła fotel drugiego pilota, by Chewbacca mógł go zająć.

Solo spojrział na gotującą się powierzchnię planety.

- Dzieje się tam coś dziwnego. Macie niezłe szczęście, że po was przylecieliśmy.

- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego - powiedziała Leia - Luke zaproponował, byśmy zawrócili i zobaczyli, jak sobie radzicie. Wtedy zobaczyliśmy waszą czwórkę na skimboardzie.

Hoole szybko przemówił:

- Musicie nas stąd zabrać tak szybko, jak to możliwe.

- Nie ma problemu - odparł Han Solo - Cokolwiek się dzieje tam, na powierzchni, w Sokole jesteście bezpieczni.

Han skierował statek ku kosmosowi, następnie oparł się w fotelu i słuchał, jak Hoole opowiadał, czego się dowiedzieli o D'vouranie.

Han wyglądał sceptycznie.

- Coś tam na pewno się dzieje, nie ma wątpliwości. Ale żywa planeta? To musi być jakiś błąd. Pomyślimy nad tym, gdy będziemy w nadprzestrzeni. Chewie, przygotuj się do wyłączenia podświetlnych.

Chewbacca zerknął na swoje instrumenty, po czym ryknął.

- Jak to, jesteśmy wciąż w polu grawitacyjnym D'vourana? - mruknął Solo - Lecimy na pełnej mocy od czterech minut. Powinniśmy już wylatywać z tego systemu.

Raz jeszcze sprawdził swoje odczyty. Uśmiezek zniknął z jego twarzy.

- Mam co do tego złe przeczucia.

- Co jest, Han? - spytała Leia.

Solo skrzył tak, aby mogli dostrzec D'vourana przez iluminator.

- Chyba się jeszcze nie uwolniliśmy.

- Co masz na myśli? - Tash poczuła, jak serce jej się zapada.

- D'vouran leci za nami.

ROZDZIAŁ 20

- To niemożliwe! - powiedziała Leia. - Planety się nie przemieszczają.

- Cóż, najwyraźniej ta jest wyjątkiem. I się zbliża!

Głos Tash przerodził się w pełen przerażenia szept.

- Nie mówiliście, że jak tu przylecieliście, to byliście dwadzieścia minut przed czasem?

- To prawda - przypomniał sobie Luke.

- My też byliśmy wcześniej - dodał Hoole. Popatrzył na planetę. Z tej odległości nie widać było ruszającej się powierzchni. D'vouran wyglądał spokojnie i pięknie. - On się rusza - mruknął.

- Możesz wejść w hiperprzestrzeń, Han? - spytał Luke. - Tam będziemy bezpieczni.

- Nie ma szans. Nie, póki jesteśmy w polu grawitacyjnym planety. A nie wygląda na to, żeby miała zamiar nas wypuścić. Chewie, dodaj mocy!

Gdy Zak, Tash i pozostali patrzyli, dwójka pilotów pochyliła się nad kontrolami, dając całą moc, jaką Sokół miał, do jego silników. Lecz gdy Tash znów wyrzała za szybę, D'vouran wyglądał na większego.

- Dawaj, Han - ponagliła Leia. - Zawsze mówiłeś, że ten statek był najszybszy w kosmosie.

Pot spłynął po czole Hana Solo.

- Tak, ale nigdy wcześniej nie musiałem uciekać przed planetą. Chewie, wyłącz osłony! - Wookiee ryknął. - Już zrobione? A działka? - Chewbacca warknął. - Dobra, dobra! Tylko sprawdzam.

D'vouran był już na tyle blisko, by zakryć całą szybę kokpitu.

Han oparł się w fotelu. Przez sekundę wyglądał na pokonanego. Następnie się wyprostował.

- Dobra, przechylmy szalę na naszą korzyść. Grawitacja jest naszym problemem, co nie? To zróbmy z niej naszego sojusznika.

Han obrócił Sokoła o sto osiemdziesiąt stopni, strącając wszystkich z nóg. Gdy odzyskali równowagę, statek leciał z powrotem na planetę. Chewbacca zawył.

- Han, co robisz?! - krzyknął Luke. - Lecisz prosto na niego!

- Trzymajcie się!

Przyciągany przez grawitację planety oraz pchany przez własne silniki, Sokół nabrał ogromnej prędkości i pędził w stronę D'vourana. W ostatniej chwili Han podniósł dziób. Trzymając się w zasięgu pola grawitacyjnego, dodał mocy do silników i przeleciał przez atmosferę planety. Spodem statku zostawiał ślad płomieni w powietrzu, gdy frachtowiec okrążył monstrualną planetę.

Efekt przypominał procę. Pojazd okrążył planetę, po czym Han wyleciał z orbity. Wykorzystując siłę odśrodkową, Sokół został wyrzucony w kosmos, daleko od D'vourana.

Chewbacca coś warknął.

- Siła grawitacji spada! - przetłumaczył Han.

- Udało ci się! - krzyknęła Leia. - Jesteśmy w kosmosie! - Uwolniony od grawitacji D'vourana, Sokół nabrał jeszcze więcej prędkości.

Zwrócił się nonszalancko do swoich pasażerów.

- Sztuczka zwana procą. Najstarsza w galaktyce.

Zak i Tash popatrzyli na siebie nawzajem i wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Wujek Hoole nie spuszczał wzroku z planety.

- Patrzcie - powiedział.

- Nie wierzę - szepnęła Tash. Nawet biorąc pod uwagę wszystko, co widziała, z trudem mogła ogarnąć, co się dzieje.

Planeta D'vouran się trzęsła. Wibrowała i chwiała się, jakby usiłując zmienić swój kształt. Jasne błyski światła przypominające erupcje wulkanów pojawiły się na jej powierzchni. Planeta wybrzuszyła się na zewnątrz, stając się okropnie zdeformowaną masą. Następnie się zapadła, stając się coraz mniejszą i mniejszą kulą wirującej materii w kosmosie. Raz jeszcze się zatrzęsała i zupełnie zniknęła.

- Nie wierzę - powtórzył Zak.

- Czy ona zniknęła? - spytała Tash.

- Zdaje się, że... pochłonęła samą siebie - odparł Hoole. - Niewiarygodne.

- Cóż, nie będziemy tu zbyt długo sterczeć i ją podziwiać - powiedział Han. - Chewie, przygotuj się do skoku. Teraz!

Pilot chwycił za duży drąg i pociągnął go mocno. Zak i Tash zostali rzućni do tyłu, gdy Sokół wkroczył w nadprzestrzeń.

EPILOG

We wspólnym pokoju Sokoła, Tash siedziała naprzeciwko Wujka Hoole'a.

- Myślałam, że zostałam sama - powiedziała. - Myślałam, że wszyscy zginęli. Tak jak moi rodzice.

Hoole przez sekundę zmienił wyraz twarzy ze swojej typowej ponurości.

- Przepraszam, Tash. Gdy ciebie nie było, dostrzegłem swoją szansę, by obserwować Enzeenów. Stałem się więc jednym z nich.

- Ale dlaczego tak długo czekałeś, by nam pomóc? - spytała. - Mogliśmy tam zginąć.

- Musiałem wiedzieć, co się dzieje. - wyjaśnił Shi'ido. - Nie mogłem się dowiedzieć, dopóki Chood do was nie przemówił. Pomogłem wam, gdy tylko mogłem.

- Czego się dowiedziałeś? - spytała Księżniczka Leia. - Czym było to coś?

- Nie dowiedziałem się wiele więcej, niż Tash. - odpowiedział Hoole. - Lecz zgaduję, że D'vouran był jakimś eksperymentem naukowym, który się nie udał. Imperium ciągle eksperymentuje z mutacjami i bronią biologiczną. Stracili kontrolę nad tą. Naszyjnik tworzył jakieś pole ochronne. Technologia zawarta w tym małym urządzeniu musiała być niesamowita. Żałuję, że nie miałem okazji mu się przyjrzeć.

- Cóż, nie działał chyba aż tak dobrze - powiedział Zak. - Wszyscy naukowcy zniknęli. Pewnie zostali pożarci.

- Zostali? - Hoole się zamyślił. - Równie prawdopodobne, że stwórcy po prostu zostawili planetę samą sobie. Mogą wciąż gdzieś tam być.

Tash przypomniała sobie nikczemny uśmiech Chooda.

- A co z Enzeenami?

- Pasożyty, dokładnie tak jak myśleliście. Żywili się z D'vourana, a D'vouran pozwalał na ich istnienie, póki przyciągali więcej pokarmu.

- Jak się tam dostali? - zastanawiał się Zak.

- Może się rozbili, tak jak Bebo - rzuciła Tash - ale nie smakowali planecie.

- Może - odparł Hoole - Lecz obawiam się najgorszego. Myślę, że ktokolwiek stworzył planetę, stworzył także Enzeenów, by jej doglądali i ją karmili. Ktoś używa zdobyczy nauki, by tworzyć mutanty.

Luke Skywalker spytał o to, co wszystkich dręczyło.

- Lecz ktokolwiek za tym wszystkim stoi – co on pragnie uzyskać?

- Nie mogę być pewny - odrzekł Hoole - Lecz mam zamiar ich znaleźć.

Tash znów przypomniała sobie słowa Smady i zastanawiała się, dlaczego Hoole chciał odnaleźć tych tajemniczych naukowców – by ich schwytać, czy się do nich przyłączyć? Postanowiła go bacznie obserwować.

Na głos powiedziała wdzięcznie:

- Cóż, ktokolwiek to był, przynajmniej jego eksperymentu już nie ma. D'vouran zniknął i już nigdy nie będzie nikomu przeszkadzać.

Lata świetlne dalej, w odległych zakątkach Zewnętrznych Rubieży, w miejscu ignorowanym zarówno przez Imperium, jak i Sojusz Rebeliancki, statek pasażerski leciał przez hiperprzestrzeń, wioząc górników z pola asteroid z powrotem na ich rodzimą planetę.

Ku zdziwieniu pilota, statek nagle gwałtownie wypadł z nadprzestrzeni. Pilot sprawdził instrumenty i gdy był pewien, że statek nie jest uszkodzony, zdał sobie sprawę, że wleciał w orbitę wokół pięknej niebiesko – zielonej planety.

- To dziwne - szepnął. - Nigdy wcześniej nie widziałem jej na mapie...